Nr. 20. 8 30 Lwów — Piątek dnia 26 Stycznia. **Rok 1894.**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.
NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.
„Przegląd" jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena przedpłaty na prowincyi: [illegible]
CENY OGŁOSZEŃ
[illegible]

Dziś: św. Polikarpa B. Jutro: św. Jana Chryz. | SS. Ojc. w S. Pawła Ptew. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 7 m. 44, Zachód „ „ 4 „ 44 | Długość dnia g. 9 m. — Przybyło dnia od wczoraj 5 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 25 stycznia.

Najciekawszym wypadkiem ubiegłej doby jest pogodzenie się cesarza Wilhelma z Bismarkiem. Ich wzajemna niechęć dosięgła szczytu w roku 1892, kiedy były kanclerz przyjechał na ślub syna do Wiednia, a hr. Caprivi z królewskiego rozkazu zawiadomił ambasadora ks. Reussa, iż „książe Bismark jest tylko prywatnym człowiekiem i żadnego wpływu na rząd niemiecki nie ma i mieć nie będzie." Tak ostentacyjna manifestacya cesarskiej niełaski, której skutek był ten, że Bismarkowi nie udzielono audyencyi ani u Cesarza Franciszka Józefa, ani u żadnego arcyksięcia, srodze oburzyła ekskanclerza, który od tej chwili przy lada sposobności ostro krytykował Capriviego, wiedząc dobrze, iż pociskami swymi trafia zawsze w cesarza Wilhelma, gdyż Caprivi nigdy nie robił z tego tajemnicy, że jest tylko wykonawcą woli cesarskiej. Lecz powoli wzajemna niechęć poczęła stygnąć. Cesarz Wilhelm pierwszy zrobił krok ku zgodzie, a było to wtedy, gdy za poradą Cesarza Franciszka Józefa wysłał z Wiednia do Bismarka, bawiącego w Kissingen, telegram z wyrazami współczucia z powodu przebytej przez ekskanclerza ciężkiej choroby i z ofiarowaniem mu jednego ze swych zamków na zimę. Bismark podziękował za współczucie, zamku nie przyjął i na tem się na razie skończyło. Ale lody były przełamane, nadto zaś Niemcy z uniesieniem powitali to zajście, co zarówno monarsze, jak Bismarkowi wskazało, czego pragnie opinia. Od tej chwili Bismark przestał napadać na rząd berliński, a cesarz Wilhelm już nie omijał przyjaciół ekskanclerza. Kilka tygodni temu opowiadano w Berlinie taką anegdotę: cesarz pojechał na polowanie do jednego z namiętnych wielbicieli Bismarka i wybrał rewir, do którego długi kawał trzeba było jechać przez wąskie przejście lasu. Szlachcic przez całą noc łamał sobie głowę, jak tędy przejadą powozy? — nareszcie wpadł na myśl, którą o świcie wykonał: na dwóch końcach pola postawił dwie silne lokomobile, z których jedna nazywała się „Bismark", a druga „Moltke" i przeciągnięty do transmisyi ciężki walec, wyrównał nim drogę środkiem pola. Kiedy potem cesarz spytał szlachcica, jak on to zrobił, ten odrzekł wskazując na lokomobile: „Bismark i Moltke utorowali cesarzowi drogę". Mogło to znaczyć, że ci dwaj mężowie stanu utorowali Hohenzollernom drogę do korony cesarskiej. Dawniej za taki dowcip Wilhelm II byłby się rozgniewał, bo nie lubi, aby przy nim wspominano Bismarka — tym jednak razem wesoło się zaśmiał. Mogło to znaczyć, że cesarz już nie czuje żalu do ekskanclerza. A tymczasem temu ekskanclerzowi coraz bardziej dolegały lata, coraz silniej atakują go choroby. Ledwie wyszedł z ciężkiego zapalenia płuc, porwały go reumatyczne bóle, — tych się pozbył, influenca go chwyciła. Niech więc ostatnie jego dni rozjaśni promień monarszej łaski. Tego chcieli filistrzy niemieccy, a cesarz tego pragnie, bo oto po raz pierwszy od lat czterech syn jego Herbert pojawił się przeszłej niedzieli w królewskim pałacu, w dzień koronacyjnej uroczystości orderu Czarnego Orła, którego jest kawalerem. I oto nastąpiła zgoda, którą opisał wczorajszy telegram.

Ale ten wypadek będą niektórzy z powodów tłumaczyli potrzebą polityczną, bo wśród partyi na berlińskim horyzoncie zbierają się chmury. W parlamencie niemieckim rząd wniósł projekt opodatkowania wina. Otóż wystąpił przeciwko temu wielki Bismarka przyjaciel i prezes gabinetu wirtemberskiego, a zarazem rzeczywisty rządzący minister, który w Wersalu podpisał akt zjednoczenia Niemiec, — baron Mittnacht. Właśnie dowodził on, że opodatkowanie wina może iść tylko na potrzeby każdego z osobna państwa niemieckiego, nie zaś do kasy Rzeszy. Wypowiedziawszy tę ostrą mowę przeciw cesarskim rządowi, minister wirtemberski opuścił salę i zaraz wyjechał do Sztutgartu. Ten wypadek sprawił w Niemczech wielkie wrażenie. Wszyscy starym zwyczajem orzekli, że za Mittnachtem jest Bismark, doskonały znawca wersalskiego aktu, bo jego autor. Jeśli więc teraz pogodzony Bismark poparł projekt opodatkowania wina, to opozycya wirtemberska będzie chybioną, a Mittnachtowi pozostanie tylko podać się do dymisyi.

O tem, żeby Bismark, wróciwszy do łaski, wrócił i do steru, żadnej mowy być nie może po prostu z przyczyn fizycznych: jest bardzo schorowany.

Parlament włoski miał rozpocząć swą sesyę 25 stycznia, tymczasem w urzędowym dzienniku pojawił się w poniedziałek dekret królewski, odraczający zwołanie parlamentu do 20 lutego. Wywołało to podobno niezadowolenie ogólne, gdyż — jak pisze *Opinione* — „w niepewności jeszcze miesiąc to więcej, niż kraj może wytrzymać". Przyczyna odroczenia sesyi nie jest znana. Minister finansów Sonnino już opracował plan reform, przedstawił go radzie gabinetowej i otrzymał od niej zupełną aprobatę, a zatem odroczono sesyę nie dlatego, że nie ma jeszcze dla niej roboty; nie dlatego także, że kraj jest zawichrzony, więc ministrowie nie mają czasu na dyskusye parlamentarne, bo z wyjątkiem małych wybuchów w Lombardyi, to w Romanii, wszędzie zresztą zapanował już spokój. Przypuszczają tedy we Włoszech, że gabinet nie liczy na poparcie parlamentu, że mianowicie deputowani nie odważą się głosować za obmyślonemi przez rząd reformami, które powszechnie uznawane są za niezbędne, a jednak niepopularność ich tak wielka, że ten, kto na nie głosował, już później nie zdobędzie mandatu. Wolą tedy deputowani, aby rząd wziął całą sprawę na swe barki, reformy przeprowadził i dopiero później zwoławszy parlament, zażądał od niego potwierdzenia faktów dokonanych i już nieodwołalnych. Deputowani tedy pono starali się podobno o to, aby sesyę odroczono, t. j. aż do zupełnego przeprowadzenia reform.

A reformy rzeczywiście mogą się nie podobać, bo nikomu oprócz państwa i ludzi całkiem ubogich nic nie dadzą, wszystkim zaś krzyczącym i politykującym coś wezmą. W ten sposób podobno zaprowadzić równowagę w budżecie, wprowadzić ład i prawo do gospodarki miast i gmin wiejskich, wreszcie poprawić dolę pracującego ludu, który dziś głodny, mizerny i cierpi, lecz gdy przemówi, to odrazu krwawymi rozruchami.

Aby równowagę zaprowadzić w budżecie, postanowił minister finansów pokryć coroczny niedobór, wynoszący około 180 milionów lirów, w ten sposób: wydatki na wojsko i marynarkę zmniejszyć o 5 do 6-ciu milionów; podatek gruntowy powiększyć o 10 pro., co da około dwunastu milionów; pensye wszystkich urzędników obniżyć o $^{3}/_{10}$, a zrobić to w ten sposób, iż nałożyć na urzędników, wolnych od podatku dochodowego, opłat na rzecz państwa, podatek, wynoszący 13 pro. od pensyi, co da około pięciu milionów; zaprowadzić monopol wódczany, z którego czysty dochód wyniesie w przybliżeniu 20 milionów; wreszcie znieść niepotrzebne urzędy, uniwersytety w tak zwanych „wymierających miasteczkach" i różne inne instytucye archaiczne, a biurokratyczne, w ten sposób oszczędzi 40 milionów lir. Resztę tych reform uwydatni się jednak dopiero po kilku miesiącach, a tymczasem pieniędzy potrzeba zaraz, więc minister finansów wpadł na pomysł, aby sprzedać prywatnym przedsiębiorcom niektóre koleje, zbudowane i utrzymywane przez państwo, bez żadnego dla niego pożytku, oraz zaprowadzić monopol wyrobu zapałek i zakupione fabryki zapałek sprzedać ludziom prywatnym.

Sam Crispi opracował zmianę statutów miejskich i wiejskich. Trzeba wiedzieć, że gminy włoskie mają tak szeroką autonomię ekonomiczną, iż pod względem finansowym tworzą zupełne państwa w państwie. Centralnemu rządowi nic do tego, jak się one rządzą, jakie nakładają podatki, jakie pożyczki zaciągają i na co obracają dochody. Więc wszędzie potworzyły się kliki, wyzyskujące dla siebie majątki gminne. *Corriere di Napoli* pisze: „Klasycznym przykładem, do czego doprowadziła taka gospodarka, jest gmina miasteczka Buccheri w prowincyi Syrakuzańskiej. Liczy ona 1367 mieszkańców, ma znakomite wodociągi, istniejące od kilku wieków, zabudowała się na skale, a więc utrzymanie dróg jest bardzo tanie, wreszcie posiada ośm wielkich dóbr ziemskich, niegdyś feudalnych, z których sam podatek gruntowy pokrywa wszystkie państwowe podatki mieszkańców, a dochód z tych dóbr równa się dochodowi miasta Palermo. Zdawałoby się tedy, że mieszkańcy powinni mieć wszystkiego dostatek, tymczasem są w nędzy i nareszcie porwali się za broń, zburzyli magistrat, pokaleczyli radnych, zabili burmistrza. Cóż się im stało? Oto, nie mogli udźwignąć nowego podwyższenia gminnego podatku od wina i mięsa. Śledztwo, zarządzone przez jenerała Morra, wykazało, że dobra gminne rozebrali między sobą wpływowi obywatele i niby mieli płacić czynsz dzierżawny, ale co roku prosili radę gminną o zmniejszenie tego czynszu, aż wreszcie całkiem przestali płacić. Okazało się nadto, że grunta panów radzców, przytykające do owych dóbr gminnych, co roku powiększały się i pęczniały, a te dobra równocześnie stawały się coraz mniejszemi. „Tak mniej więcej jest w całych Włoszech" — kończy *Corriere di Napoli*. A my dodamy: jakie to jest pouczające dla wszystkich nietylko we Włoszech! Od czasu do czasu narody przeżywają chwile patryotycznego zapału i wtedy ogromna większość obywateli okazuje ofiarność i poświęcenie. Ale potem nastaje peryod zadowolnienia z dokonanych czynów, peryod używania i oto się rodzi korrupcya, coraz śmielsza, zuchwalsza, aż wreszcie naród znowu się zerwie i zmiecie wszystko co jest, aby nowe postawić, a to nowe znów powoli pójdzie śladem dawnego. Z tego się składa cała historya.

Otóż Crispi zamierza podobno tak zmienić statuty gminne, aby rząd mógł kontrolować dochody i wydatki. Plan jego opiera się jakoby na wzorze niemieckim, gdzie rząd ma silny wpływ na rady miejskie i magistraty. Oczywiście, taka reforma nie może się podobać prowincyonalnym wielkościom.

Wreszcie ostatni projekt Crispiego, już czysto socyalny i dlatego najważniejszy, jest podobno taki: rozparcelować grunta miejskie i wiejskie — wszędzie we Włoszech bardzo rozległe, a wyzyskiwane nielegalnie — i na tych gruntach osadzić bezrolnych włościan, których jest kilka milionów. Oni-to tworzą żywioł ciągle fermentujący, bo skazany na nędzę, o jakiej nie mamy nawet pojęcia, oni są materyałem, którym się posługuje socyalizm. Z poprawieniem ich bytu kraj się uspokoi.

Takie są, wedle dzienników, zamiary Crispiego. Wykonać ich zwykłym konstytucyjnym sposobem prawie niepodobna. Trudno bowiem żądać, aby w parlamencie złożonym naprzykład z czterystu deputowanych, znalazło się przeszło dwieście bohaterów, gotowych dla dobra kraju narazić się na zamachy skrytobójczych sztyletów. Łatwiej to uczynić naczelnikowi rządu, bo już samo zajmowanie tego stanowiska w sytuacyi tak trudnej i niewdzięcznej dowodzi, iż jest to człowiek zdolny do ofiary z siebie, a ostatecznie może się on strażą otoczyć. Jednakże żądać od parlamentu wyjątkowych pełnomocnictw dla gabinetu jest nie dobrze, bo to zaraz przedstawiłoby za granicą stosunki włoskie w świetle niekorzystnem, w gorszem niż są. Lepiej tedy nie zwoływać parlamentu, robić co potrzeba bez pełnomocnictw, a potem już z gotowem stanąć przed izbą. I oto zapewne dlatego odroczono na miesiąc początek sesyi prawodawczej.

KORESPONDENCYE.

Warszawa 22 stycznia.

Jesteśmy tu obecnie w stanie przykrego, niepokojącego oczekiwania. Jenerał-gubernator warszawski Hurko jest tak ciężko chory, że lada chwila można spodziewać się jego zgonu, a więc zmiany osoby na naczelnem w Warszawie stanowisku. Dawniej łudziliśmy się w takich razach nadzieją poprawy losu, doświadczenie wyleczyło nas z tego optymizmu i obecnie czujemy tylko trwogę. Nie dlatego, abyśmy mieli Hurki żałować, pamiętamy przecież wszystkie krzywdy, jakie nam wyrządził, ale obawiamy się, a raczej mamy niemal pewność, że po złym przyjdzie jeszcze gorszy. Tak samo było w Kijowie: śmierć Drentelna, choć srogiego tyrana, napełniła wszystkich trwogą i słusznie, bo przyszedł po nim jeszcze sroższy Ignatjew.

Przy panującym w Rosyi systemie inaczej być nie może. Taki gubernator, który z latami zasiedział się na swem stanowisku, powydawał córki za mąż, zbogacił się sam i nasycił bogactwami swoich zauszników, których z sobą przywiódł, postarzał się wreszcie, zapragnął spokoju i mimowoli złagodniał jak choroba, która przejdzie w stan chroniczny. Ale nowy musi się „zasłużyć", musi złożyć dowody swej gorliwości i nienawiści do Polaków, inaczej będzie uważany za złego urzędnika. W ślad za nim wlecze się cała zgraja ubogich krewnych i zgłodniałych zauszników, żądnych wzbogacenia się, którzy zajmują intratne urzęda i rzucają się na kraj jako stado drapieżnego ptactwa. I ucisk wzrasta.

Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że w Petersburgu mają kłopot z wyborem następcy po Hurce, ale to pewna, że na jenerał-gubernatora warszawskiego nie przyjdzie, jak to zrazu głoszono, ani brat carski, ani Szuwałow, choćby tylko dlatego, że matka jego była Polką, a on sam jest t. zw. „zapadnikiem" t. j. zwolennikiem idei, panujących w Europie, co samo jest już zbrodnią w oczach obecnego rządu, zasklepiającego się z fanatyzmem w rosyjskim despotyzmie i prawosławiu. Jeżeli więc przebierają w Petersburgu między kandydatami, to aby nam przysłać jak najsroższego i stąd płyną nasze obawy.

Karnawał tegoroczny bardzo mało jest ożywiony. Sławne przedtem maskarady warszawskie coraz bardziej tracą na świetności, pustki i nudy poczynają gościć w salach redutowych. Czasem tylko zdobędzie się ktoś na oryginalną maskę lub znajdzie się dowcipne domino, intrygujące półsłówkami obecnych. Rokrocznie powtarzało się w ostatnich czasach, że pierwsze dwie maskarady nie udawały się, dopiero trzecia zapełniała sale, ścisk, gwar, ożywienie było jakby jaśniejszym błyskiem gasnącej lampy wychodzącej z mody zabawy. Teraz i to światło przyćmiewa się. Tego roku nawet trzecia maskarada zawiodła, zaledwo 1400 biletów na nią sprzedano, daleko więc jej było nietylko do dawnej świetności, ale choćby tylko do tradycyjnego powodzenia.

Jedną z przyczyn jest niewątpliwie także osłabnięcie w ogóle tempa karnawałowego. Ludziska nie umieją się po dawnemu bawić, coraz więcej sensatów, coraz więcej młodzieży nietańczącej i zwykle bywa, że zaledwo pod koniec karnawału w Warszawie się ożywia. Teraz n. p. spodziewamy się, że nadobre zaczniemy się bawić dopiero od „balu żywych kwiatów", który się za dni parę odbędzie. Kwiatami naturalnie będzie nie kto inny, tylko nasze piękne Warszawianki! Zaroi się sala od maków, róż, chryzantemów, słoneczników i t. d. Będzie to więc bal kostiumowy, z mniejszym jednakże połączony kosztem niż zazwyczaj, bo suknie będą zwykłe balowe, a tylko główki tancerek otulą w swe listki olbrzymie tulipany, maki, albo dzwonki.

Jeśli przeniesienie na grunt nasz tej francuskiej zabawy ma dowodzić wzmagania się u nas zamiłowania w kwiatach, cieszyć się powinien p. Edmund Jankowski, który w swoim „Ogrodniku" i w pismach codziennych nieustannie wskazuje na ogrodnictwo jako źródło znacznych dochodów, niewyzyskanych u nas i na hodowlę kwiatów, źródło niewyczerpanych przyjemności. Śladem jego idą już i inni, i coraz częściej pojawiają się na ten temat przeróżne artykuły.

Ogrodnictwo i botanika poniosły dotkliwą stratę przez śmierć profesora Jerzego Aleksandrowicza. Liczył on już 75 lat, mimo to w pracy nie ustawał. Dawniej profesor szkoły medyczno-chirurgicznej i szkoły Głównej, zasłużył się bardzo około botaniki, a jeszcze bardziej około rozwoju ogrodnictwa u nas. Przekształcił ogród botaniczny, założył ogród pomologiczny, szkołę ogrodniczą i towarzystwo ogrodnicze, którego był prezesem. Pogrzeb jego był szczerem uznaniem zasług niezmordowanego pracownika, którego zwłoki tłumy ludzi z różnych warstw odprowadziły na cmentarz powązkowski, gdzie spoczął nie w grobowcu, ale jak sam sobie życzył w ziemi.

Nie umilkły jeszcze echa pobytu Eusapii w Warszawie, owszem teraz dopiero rozigrała się na dobre walka na pióra. P. Rajchman prowadzi dalej swe odkrycia, pomaga mu zlekka dr. Heryng, a zwolennicy mediumizmu i Eusapii z p. Ochorowiczem na czele uderzają na nich z całą pasyą, zasypując ich zamiast argumentów potokiem kpin, mniej lub więcej zużytych konceptów i wcale niedwuznacznych wymyślań. Wobec tego z prawdziwym taktem zachowuje się p. Rajchman. Oto jak odpowiada na napaść i zarazem jak ocenia „naukowość" i „postępowość" tych „nowych idei".

„To (wycieczki osobiste) chyba dowodzi — pisze on — że obraziłem, nie ową poszukiwaną prawdę, lecz jakąś namiętność, która nic wspólnego nie ma z naukowem badaniem. W rozbiór jej znaczenia wdawać się teraz nie będę, to tylko zaznaczę, że obłęd spirytystyczny nie jest wcale kierunkiem postępowym, za jaki chcą go wydać zwolennicy, lecz atawistycznym zwrotem, cofnięciem się wstecz ku religii ludów pierwotnych, jest pewnym rodzajem szamanizmu. O ile mi czasu starczy, postaram się to później udowodnić, ciekawych *odsyłam tymczasem do dzieła Tylora i innych o religiach ludów dzikich*".

Pomijamy jednakże tę całą, nadzwyczaj ciekawą polemikę, zwłaszcza że ona z jednej strony nie jest prowadzona naukowo, a przytoczymy parę spostrzeżeń, zrobionych przez p. Rajchmana, mianowicie o doświadczeniu z kotarą, o dotknięciu ręką, o latających światełkach i chłodnych powiewach.

Z kotarą była taka historya. W framudze ustawiono stolik, na nim dzwonki, potem framugę zasłonięto kotarą, a brzegi jej poprzybijano gwoździami. Nie podobało się to Eusapii, powyrywała gwoździe, a potem sama ułożyła fałdy kotary i spięła je szpilkami. Zasiedli następnie wszyscy do stołu, Eusapia plecami do kotary i dwom obok siedzącym kontrolorom przycisnęła stopy swemi nogami. Nastąpiły zwykłe przekrzywiania się i czkawki medyum, dzwonki zadzwoniły, stolik ruszył się, a nawet upadł. Ale p. Rajchman zauważył, że Eusapia przechyliła się przytem na jedną stronę, jak ktoś, co wyciąga poza siebie przeciwległą nogę. Po doświadczeniu więc zwrócił na to uwagę innych. Odpowiedziano mu, że trudno tak wysoko sięgnąć nogą. Na to pan Rajchman siadł na krześle Eusapii i przy pewnem wysileniu podniósł tak nogę, że o mało nie uderzył nią w głowę kogoś obok siebie siedzącego. Później, kiedy odkrył z jaką zręcznością Eusapia uwalnia jedną nogę, że kontrolorzy tego nie widzą, nie wątpił już, iż stolik przewracała i kotarą trącała noga Eusapii. Ona jednakże przysięgała się, że to robi „ręka Johna", a p. Ochorowicz, który mięszanie w tę kwestyę duchów, uważa za „nie naukowe" i wynalazł własną teoryę do bałamucenia ludzi, twierdził, że od materyalnej ręki Eusapii „odszczepiała" się „ręka eteryczna" za kotarą się „materyalizowała" i tam wyprawiała na własny rachunek brewerye.

Przytoczone spostrzeżenie p. Rajchmana potwierdził dr. Heryng, który będąc raz kon-

---

URZĘDNIK PRUSKI.

— Powiadam ci, namyśl się dobrze. Taki pan asystent biura, to niby pan, a właściwie biedak, gorszy odemnie, choć jestem tylko stolarzem. Pan? Boże kochany. Teraz ma pensyi 300 talarów, za lat pięć dołożą mu 50, za dziesięć 100, za piętnaście 150, a za dwadzieścia 200, jeżeli dobrze pójdzie. Idąc w ten sposób w górę, dochrapie się może po pięćdziesięciu latach służby tysiączka, jakiegoś orderu Orła czerwonego IV-tej klasy i tytułu drugorzędnego radzcy, ale wówczas ani ciebie nie będzie na świecie, ani przyszłych dzieci twoich, ani zapewne i jego. Pomrzecie tymczasem z niewygód, z niedostatku, z trudów. Powiadam ci, Marynju, namyśl się lepiej dobrze, zanim się zwiążesz na zawsze ślubem dozgonnym z Karolem. Nie lepiej tobie, córce rzemieślnika, wyjść za równego sobie? Dobry rękodzielnik trzyma swój los w garści, jest panem swojego czasu i swojej osoby. Na co tobie być urzędniczką, po co, proszę ciebie? Zobaczysz, że cię Pan Bóg ukarze za tę pychę. Biedy nażyjesz się co niemiara, a szczęście minie rychło, gdy kłopot zawita do waszego domku.

Tak przekonywał pan Andrzej Drobnik córkę swoją, ale ona, hoża dziewczyna siedmnastoletnia, milczała uparcie, poruszając lekko głową na znak przeczenia.

— Albo Józwa, czy to nie tęgi chłopak? — mówił dalej Drobnik.—Kowal z niego jak Pan Bóg przykazał. Kiedy grzmotnie młotem, to aż kuźnia jęczy, a iskry pryskają naokoło. To mi mąż. Niechby cię tylko kto zaczepił. Józwaby mu zęby wybił, żebra pogruchotał, nogi połamał. A ten twój Karol, to co? Tylko piórkiem skrobie, a skrobie po papierze, tylko coś tam pisze a pisze, jakby to była jaka robota. Funta kłaków nie warta taka robota. No, jeszcze czas, namyśl się, Marychna.

Ale Marychna nie podzielała snać poglądów ojca, bo odpowiedziała:

— Józwa taki obcesowy, tatusiu.

— To co, że obcesowy! Chłop powinien być taki. Choćby ci czasem i skórę wygarbował, nic w tem złego, bo mąż od tego, aby żonę swoją edukował. I ja tam nieraz, kiedy sobie palnąłem żytniówki, pogłaskałem twoją matkę, a przecież zdrowa z niej kobiecina i żwawa jeszcze, kiejby jaka dziewucha. A bo to nie masz języka? Rób tak, jak twoja matka, kiedy wytrzeźwieję. Trajkocz a trajkocz, a dokuczysz więcej, niż pięścią. Oho, wy to umiecie. No, Maryna, jakże tam z Józwą? To dobry chłopak, on wypił już ze mną beczółkę żytniówki na twoje zdrowie.

— Tatusiu, niech już tak zostanie. Obiecałam Karolowi i dotrzymam słowa.

— Rób jak chcesz. Przymuszać cię nie myślę, bo nie ja będę żył z tym papiernikiem, jeno ty. Panie Boże, co też to za upór kobiecy. Módz być żoną takiego dzielnego chłopaka, jak Józwa, a woleć takiego zdechlaka, jak ten Karol Pomiderski. Bo to zdechlak, powiadam ci, ni do butelki, ni do tańca, ni do bijatyki. Ale rób, jak chcesz, i niech ci tam Pan Bóg błogosławi. Tyś przecież moje dziecko, broń mnie Panie Boże, żebym ci miał co złego życzyć.

— Dziewczyna rzuciła się ojcu na szyję, a on przygarnął ją do siebie i całował.

* * *

Państwo Pomiderscy rozpoczęli wspólny żywot. Wczoraj złączyli się ślubem dozgonnym, a dziś, zasiadłszy do obiadu, krasili go marzeniami o przyszłości.

Mieszkanko ich składało się z dwóch pokoików. Czyste one były i schludne, zamiecione i wybielone, zastawione mebelkami, które młody gospodarz wziął na kredyt.

Skądże bo miał wziąć gotówkę? Skończywszy cztery klasy gimnazyum pruskiego, poświęcił się niższej karyerze sądowej. Wysługiwał się przez trzy lata jako bezpłatny aplikant, ucząc się praktycznie prawa, następnie pełnił przez lat pięć czynności dyetaryusza z pensyą, wynoszącą piętnaście talarów na miesiąc, obecnie został urzędnikiem etatowym tak zwanym asystentem biura w sądach pruskich i ożenił się.

On nic nie miał, nie dostała i ona posagu, lecz ktoby się o to troszczył!

Pan Pomiderski stanął już przecież na najniższym szczeblu służby etatowej, więc musi posuwać się w górę, stosownie do wakansów, które się otworzą. Za lat dziesięć zostanie prawdopodobnie sekretarzem sądu, naprzód młodszym, później starszym, — a kto wie, czy nie dotrze z czasem i do radzcostwa.

Bo jak każdy żołnierz francuski mniema, że nosi w swym tornistrze buławę marszałkowską, tak pociesza się najdrobniejszy urzędnik pruski w chwilach ciężkich nadzieją tytułu radzcy. Mnóstwo ich, tych radzców, w kraju „dobrego obyczaju i bojaźni bożej". Rachunkowi, kancelaryjni, sądowi, rejencyjni, szkolni, wojskowi, agronomiczni, sanitarni, komercyjni, leśniczy, ekonomiczni, prywatni, tajni, najtajniejsi... Rzuć kijem, a trafisz radzcę, wejdź do restauracyi, kawiarni, cukierni, piwiarni, a ujrzysz pełno siwo-włosych emerytów. Zapytaj, a powiedzą, że to jakiś radzca.

Pan Pomiderski, zaledwo rozpoczął naprawdę karyerę urzędniczą, stanąwszy na najniższym, ale pewnym już, nieruszającym się szczeblu drabiny etatowej, — marzył o radzcostwie.

— Zobaczysz, zostanę kiedyś radzcą, a wtedy....

Młoda żona nie pytała, co będzie wtedy.. Cieszyła się ona razem z mężem przyszłym tytułem radzczyni.

Radzczyni? Fiu, fiu, dopiero to będą zazdrościły wszystkie znajome.

Tymczasem jednak był pan Karol tylko asystentem sądu. Zaledwo wybiła godzina ósma zrana, zrywał się od śniadania i spieszył do sądu, do swego biura, bo pan dyrektor nie lubił spóźniających się. Zwierzchnik nie mówił nic, nie zrzędził, lecz gdy spojrzał na podwładnego, to biedakowi aż w kolanach coś miękło.

Bo przełożony pruski, to zawsze komendant, choćby wcale w wojsku nie służył. Nie wdaje on się w gawędy z niższymi od siebie, nie wie co to koleżeństwo, co życzliwe obejście się.

— Tak być musi, na prawo zwrot i basta, Znaj mores, kiedy nie umiałeś wdrapać się wyżej.

Wszakżeż i on „zna mores" przed znaczniejszym od siebie. Kilka lat więcej w służbie, to już stopień, to różnica hierarchiczna.

Asystent „zna mores" przed sekretarzem, sekretarz milczy w obecności sędziego, sędzia nie odezwie się przed radzcą, radca „trzyma gębę" gdy dyrektor mówi, dyrektor kłania się radcy wyższego sądu, ten prezesowi, prezes nadprezesowi i tak dalej, aż na sam wierzchołek drabiny.

Wszyscy „znają mores", nie zastanawiając się nawet nad tem, czy to słusznie lub też nie. Żołnierz nie powinien myśleć w szeregu, nie powinien dopuszczać się tego przestępstwa i urzędnik w czynnej służbie.

Pan Pomiderski myślał wprawdzie, ale o zupełnie czem innem.

Trudził on mianowicie głowę swoją nad powiązaniem końca z końcem swej pensyjki, więc nad problematem niezmiernej wagi.

Trzysta talarów rocznie? Okrutnie to mało, a jednak nie wolno mu było zarobić ani grosza więcej.

— Gdyby tak założyć sklepik! Opłaciłoby się to w małem miasteczku.

Nie wolno! Urzędnik pruski powinien się szanować. Nie jego rzeczą handlować.

— **Gdyby tak zarabiać przepisywaniem po godzinach urzędowych.**

trolorem przy doświadczeniu z kotarą, kiedy przypadkiem było w pokoju trochę jaśniej niż zwykle, spostrzegł całkiem wyraźnie wysuwającą się z pod krzesła nogę Eusapii. Dr. Heryng, dla ochłodzenia zwolenników włoskiego medyum, zaprosił do siebie dwóch najgorliwszych wyznawców medyumizmu i zapowiedział im, że powtórzy cud ze stolikiem, kotarą i dzwonkami. Zasiedli.

— Czujecie na swoich nogach moje? — zapytał dr. Heryng.

— Czujemy — odpowiedzieli kontrolorzy.

W tej chwili za zasłoną dzwonki zabrzmiały, stolik się przewrócił, a jeden z kontrolorów dostał porządnego szturchańca w grzbiet, jakby „ręką Johna."

— Jakżeż pan to zrobił? — spytali zaintrygowani.

— Nogą, — odrzekł dr. Heryng.

Z dotknięciami, jakie uczuwali uczestnicy *seansów*, podobna jest historya. Jeden z kontrolorów brał lewą rękę Eusapii w kostce, prawą kładła ona na rękach drugiego kontrolora. Obom zdawało się, że kontrola była nieprzerwana, mimo to, kiedy na komendę Eusapii: *Parlate!* (mówcie) poczęto rozprawiać, śpiewać i gwarzyć, ten i ów uczuwał dotknięcia, uderzenia, lub jakaś ręka chwytała go za kark. Była to znowu ręka Eusapii, jak dowiódł tego p. Rajchman. Kontrolując ją, zauważył, że ręka jej zsuwała się z jego rąk tak, że tylko ich dotykała końcami palców, które drgały, jak gdyby przy przebieraniu po klawiszach. Potem nastąpiła krótka, mniej niż sekundowa przerwa w dotknięciu, po niej zjawiała się zaś znowu taka sama przerwa. Otóż Eusapia uwalniała prawą rękę, trzymaną na rękach jednego z kontrolorów, szarpiąc się niby w paroksyzmie medyumicznym przysuwała lewą rękę, trzymaną w kostce przez drugiego kontrolora, palcami jej dotykała rąk siedzącego po prawej jej stronie, a po dokonaniu „zjawisk" powracało wszystko do dawnego stanu. Owe krótkie przerwy w dotknięciu rąk kontrolora po prawej stronie służyły na zmianę rąk, a inni, mniej od p. Rajchmana baczni, sądzili, że strzegą pilnie Eusapii.

Były podczas doświadczeń z Eusapią i „cudowne powiewy". Eusapia brała podczas *seansu* zmęczona nadzwyczaj i spocona, rękę jednego z kontrolorów, unosiła ją w górę, a on uczuwał na niej chłodny powiew. Znaną jest rzeczą, że jeśli się zwilgoconą rękę w powietrzu porusza, musi się na niej uczuć chłód a na dłoni, jak można to łatwo łudzić się lub łudzić innych, przytacza p. Rajchman taki epizod: Podczas *seansu* z powiewami westchnął on raz przypadkiem.

— Teraz to silny powiew! — zawołali wszyscy.

— To ja go zrobiłem — wtrącił p. Rajchman.

— Pan? Po co?

— Westchnąłem...

Dodać należy, że kontrolowane były nogi i ręce p. Eusapii, ale nikt nie kontrolował jej ust...

Pozostaje jeszcze kwestya światełek małych, podłużnych, podobnych do robaczków świętojańskich, które się unosiły po nad stołem. P. Rajchman, wiedząc już, jak Eusapia uwalnia ręce i nogi, odrazu wpadł na przypuszczenie, że to są na włosie lub druciku maluchne baniczki szklane z kawałkiem fosforu we środku. Spreparował więc sobie ze szklanej rurki przy pomocy lampki spirytusowej kilka takich baniczek i w gronie swych znajomych, w ciemnym pokoju, dawał prawdziwie wspaniałe przedstawienia z niemi.

Tyle uwagi godnego zaczerpnęliśmy ze spostrzeżeń p. Rajchmana. Na zakończenie wypada zestawić bilans moralny z pobytu Eusapii w Warszawie. Wykazuje on same straty: kilka osobistości, mających pretensye do uczoności skompromitowanych i niezwykłe wzmożenie się manii spirytystycznej w Warszawie i okolicy. Do jakich zaś ona doprowadzić może rezultatów, niechaj świadczy jeden fakt. Pewna nauczycielka prywatna panna G. L. poczęła się z takim zapałem oddawać doświadczeniom a la Eusapia Palladino, że zrujnowała sobie zdrowie niemi do tego stopnia, iż lekarze zabronili jej stanowczo przez pewien czas zajmować się nauczycielstwem, co stanowi jedyne źródło jej dochodów.

Może ten przykład innym będzie przestrogą.

Plantacya buraków.

Piszą nam ze wsi:

Szanowna Redakcyo! — Do cennej rozprawy p. Stanka o plantacyi buraków do cukrowarń, umieszczonej niedawno w *Przeglądzie*, dobrze byłoby dla zachęcenia plantatorów, dodać jeszcze niektóre uwagi.

Otóż skoro — jak pisze p. Stanek — z jednego morga można mieć co najmniej 150, a przy umiejętnej uprawie 200 do 300 korcy buraków, a za korzec buraków najniższa cena 1 zł., to można mieć z jednego morga brutto co najmniej 150 zł., a przy umiejętnej uprawie i dobrym urodzaju 200 do 300 zł. Z tego potrąciwszy, dajmy na to, połowę na wydatki, będziem mieli czystego zysku z morga co najmniej 75 zł, a przy dobrym urodzaju 100 do 150 zł. A choćby i więcej jak połowę trzeba odtrącić na uprawę, to jeszcze pozostanie o wiele większy zysk jak z każdej innej rośliny. Czechy daleko mniejsze od Galicyi, a produkują rocznie 165 000 hektolitrów buraków, gdy Galicya ledwie 3000.

Może kto powie, że nasza ziemia nie jest przydatna do uprawy buraków? Wszakże gleba w Czechach z natury może jeszcze gorsza od wielkiej części gleby naszej, jeno umiejętną uprawą czynią ją żyzną. Koszta zaś tej umiejętnej uprawy wynagradzają im sowicie cukrowarnie, których jest tam ogromna liczba. Według statystycznych wykazów my płacimy Czechom rocznie **sześć milionów** guldenów za cukier! Taka poważna suma wychodzi co roku z kraju i nas coraz bardziej zuboża, choć jedynie od nas zależy temu złemu zapobiedz. Trzeba tylko, żebyśmy zabrali się szczerze i energicznie do zakładania cukrowarń czy to pojedyńczo, jeśli kto może, czy też przez stowarzyszanie się, a kierownicy znajdą się i u nas. Zresztą kartofle wydają u nas już teraz tak niski plon, że nie wystarczający nieraz do puszczenia w ruch niektórych gorzelni. Więc możeby się udało zastąpić kartofle burakami. Wszakże czytam w wykazach statystycznych, że we Francyi w roku 1880 wyrób najdelikatniejszego spirytusu z buraków wynosił 450.000 hektolitrów. Odtąd coraz więcej używają we Francyi buraków do wyrobu spirytusu. Więc jeżeli już niekoniecznie do cukrowarń, to gdzieniegdzie i do gorzelń wartoby uprawiać buraki. Jak mi mówiono, kilku obywateli pod Krakowem wywozi buraki aż do Morawy z zyskiem. Kosztu uprawy buraków nie ma co się obawiać, wszak uprawa tytoniu także jest mozolna i kosztowna, a przecież zyskowniejsza od uprawy zboża. *Ziemianin.*

* * *

W związku z powyższą sprawą stoi artykuł, który otrzymaliśmy od p. Józefa Śniadowskiego z Nagórzan p. Nawarya:

Projekt wybudowania w okolicy Lwowa a nawet we Lwowie, tylko za linią akcyzową, cukrowarni akcyjnej wchodzi w stadyum poważnej dyskusyi i zastanowienia oraz obliczenia wszystkich warunków. Inicyatorem jest piszący te słowa i proponuje zebrać potrzebny kapitał 500 000 złr. przez wypuszczenie 1000 akcyi po 500 złr. z tem zastrzeżeniem, że nie wolno jednej osobie mieć więcej jak jedną akcyę na 500 złr. Zaś 25 akcyi razem wziętych wybiera jednego członka Rady Nadzorczej. Leży bowiem w interesie małych kapitalistów, ażeby mogli być członkami tych przedsiębiorstw, rokujących świetne dochody. Właściciele i dzierżawcy ziemi w okolicy Lwowa otrzymają po jednej akcyi, z obowiązkiem dostarczania pewnej ilości buraków po pewnej cenie i stopniu polaryzacyi, wyższy procent polaryzacyi wyżej płacony będzie. Zarząd całej fabryki oddany będzie ludziom fachowo wykształconym, a żadna posada nie będzie ani synekurą ani *panis bene merentium*, gdyż w interesie instytucyi będą nią zarządzać tylko ludzie fachowi odpowiednio zakaucyonowani.

Na razie upatrzony jest folwark tuż przy kolei z dostateczną ilością wody. Lwów połączony pięcioma kolejami łatwo może dowieść buraki cukrowe i wywieść odpadki dla karmy bydła. Przy tym folwarku prowadzone będzie gospodarstwo mleczne na dużą stopę, ażeby Lwów miał dobre mleko.

Majątki ziemskie, wogóle ziemia w okolicy Lwowa ogromnie się w cenie podniesie, bo burak cukrowy daje stosunkowo najlepszy dochód. W promieniu dwumilowym jest 30.000 morgów ziemi, z których rokrocznie 2000 morgów powinno być obróconych pod uprawę buraków. Dobra miejskie Lwowa, dobra funduszowe, klasztorne, katedralne itd., są w pierwszym rzędzie interesowane.

Na razie robią się plany i kosztorysy za granicami kraju. Bliższych wyjaśnień można u podpisanego zasięgnąć, a cukrowarnia ta puszczona zostanie w ruch w roku 1895.

J. Śniadowski, Nagórzany p. Nawarya.

KRONIKA.

Lwów 25 stycznia.

Wybór uzupełniający jednego członka Rady powiatowej w Kałuszu, z grupy gmin wiejskich, rozpisało Namiestnictwo na dzień 28go lutego r. b.

P. Stanisław Szczepanowski sprzedał swe kopalnie i dystylarnię nafty, a także i kopalnie węgla w Myszynie akcyjnemu Towarzystwu belgijskiemu.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa w Husiatynie rozpisała z terminem do końca lutego rb. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — Gmina m. Tyśmienicy rozpisała z terminem do 20 lutego r. b. konkurs na posadę lekarza miejskiego z roczną płacą 350 złr. — Sąd powiatowy w Dukli poszukuje dyetaryusza. — Dyrekcya poczt telegrafów ogłasza z terminem do 7 lutego konkurs na posady ekspedyentów pocztowych w Babicach obok Chrzanowa i w Kłaju w powiecie bocheńskim, zaś z terminem do 15go lutego konkurs na kilka posad konduktorów pocztowych, listonoszów, dozorców linii telegraficznych i woźnych pocztowych.

Wiadomości dyecezyalne. Gr. katol. dyecezya stanisławowska: Kanoniczną instytucyę otrzymali księża: Mikołaj Baczyński na Miłowanie w powiecie tłumackim, Eugeniusz Proskurnicki na Horodnicę koło Horodenki, Nicefor Kuryłowicz na Temerowce w powiecie stanisławowskim i Tytus Wojnarowski na Balińce w powiecie kołomyjskim. — Mianowani: ks. Julian Lewicki dziekanem brzeżańskim, ks. Emil Karatnicki poddziekanim stanisławowskim, ksiądz Włodzimierz Pasinowicz poddziekanim kosowskim.

W Związku naukowo-literackim odbywać się będą odtąd stale co tygodnia czwartkowe zebrania członków; najbliższe odbędzie się dziś w czwartek dnia 25 bm, na którem p. dr. Stanisław Kłobukowski mówić będzie „O Mazurach we wschodnich Prusiech", zaś p. Fr. Rawerta „Kilka słów o protoplastach jen. gubernatora warszawskiego Hurko". Członkom Towarzystwa przysłuża prawo wprowadzenia gości. Początek każdorazowej pogadanki o godzinie 7mej w lokalu Związku, przy ulicy Kopernika l. 21, I piętro.

Gospodarka gminna w Haliczu. W tych dniach komisya delegowana przez Wydział krajowy przeprowadziła lustracyę gospodarki gminnej w Haliczu i likwidacyę majątku Halicza. Dochodzenia te wykazały, iż gospodarka gminna znajduje się w wielkim nieporządku, że od lat wielu popełniano tam liczne nadużycia i malwersacye. Suma kwot zdefraudowanych, po potrąceniu tych pieniędzy, które w toku likwidacyi złożono, wynosi 3.400 złr., a jest niewątpliwie małą częścią tego, co rzeczywiście sprzeniewierzono.

Zaległości nieściąganych czynszów wynoszą kilkanaście tysięcy złr. i część tych pieniędzy przepadnie niewątpliwie. Wskutek tego odniósł się Wydział krajowy do Namiestnictwa z wnioskiem na rozwiązanie rady gminnej i ustanowienia komisarza rządowego. Dwóch malwersantów uwięziono.

Kasyno ruskie we Lwowie urządza w sali Narodnego Domu wieczorki z tańcami dnia 3, 10, 17 i 24 lutego.

Menu obiadu danego wczoraj przez posłów na cześć Ministrów:

Koniak (J. Dupont et Comp. Cognac).
Kanapki.
Consommée Royale.
Łosoś w majonezie.
Polędwica à la Godarde.
Timballes à la Victoria.
Indyki i pantarki z truflami.
Sałata francuska.
Gélée à la moscovite.
Desery.
W i n a:
Madera, (Power Drury et Comp. Funschal Afrique).
Saint Estèphe, (Ade Luze et Fils Bordeaux).
P.sporter, (Lauteren Sohn Mainz).
St. Marceaux et Comp. sec. (Reims).

Raut akademicki pod protektoratem arcyksięstwa Salwatorów urządza „Bratnia pomoc" słuchaczy uniwersytetu lwowskiego dnia 10 lutego w salach kasyna miejskiego.

Kościół polski i misya ks. Zerra. Jeden z naszych dygnitarzy kościelnych, bawiący czasowo w Rzymie, telegrafuje ztamtąd, że ksiądz Zerr, upoważnił go do zaprzeczenia w pismach polskich jakoby miał jakiekolwiek polecenia od rządu rosyjskiego. Miał tylko złożyć od tego rządu hołd stolicy apostolskiej.

Nowy sposób na wykrycie złodziei zajmuje wielce policyę w Wiedniu i Budapeszcie. Fabrykantowi Schroedlowi ginęły pieniądze, srebrne korony; mimo ostrożności, kradzież się powtarzała a złodzieja ani śladu. Dopiero profesor chemii, Dalek, dał fabrykantowi proszek i zalecił korony nim dobrze obsypać, a potem badania prowadzić. Otóż po ponownej kradzieży Schroedl zwołał robotników i kazał im po kolei myć sobie ręce w wodzie. Przyszła kolej na jednego, który miał palce od proszku nieco niebieskie, a gdy je zanurzył w wodzie, zrobiły się całe niebieskie — i wykryto w nim złodzieja. Policya zażądała od profesora większej ilości tego proszku.

Nowe Czytelnie ludowe. Wydział lwowskiego Towarzystwa oświaty ludowej założył nowe czytelnie w następujących miejscowościach: 1) w Słobódce Janowskiej (w powiecie trembowelskim) pod zarządem p. Jana Szymańskiego, kierownika szkoły, dziełek 82; 2) w Komarnie (w powiecie rudeckim) panny M. Mikłasiewiczównej, nauczycielki, dziełek 64, (ilość książek wysłanych do tej miejscowości wkrótce znacznie zostanie powiększona); 3) w Młyniskach (w pow. trembowelskim) p. Aleksandra Zachariańskiego, kierownika szkoły, dziełek 81. Z dawniej założonych czytelni powiększono biblioteczki w Sarzynie, Drohobyczu i Grabowie.

Eksternistki, które zamierzają składać egzamin dojrzałości w c. k. seminaryum nauczycielskiem żeńskiem we Lwowie z końcem bieżącego roku szkolnego, winny wnieść podania do dyrekcyi zakładu (ulica Skarbkowska l. 39) najdalej do dnia 31go marca.

Z Sokala nam piszą: W kościele WW. OO. Bernardynów w Sokalu, odprawionem zostało staraniem Towarzystwa gimnastycznego „Sokół" dnia 24 stycznia rb. uroczyste żałobne nabożeństwo za poległych Braci w obronie Ojczyzny r. 1863. Po mszy św. którą celebrował O. Bruno Nowakowski, gwardyan, w asystencyi Ojców zakonnych, — przemówił z ambony do licznie zgromadzonej inteligencyi miejscowej i okolicznej w słowach gorących i rzewnych wielebny O. Ferdynand Moralski.

Dnia 10 stycznia rb. zmarł w Sokalu Michał Doliwa Falkowski, były właściciel dóbr Głuchów i wicemarszałek Rady powiatowej sokalskiej, przeżywszy lat 73, a zwłoki jego zostały złożone w grobowcu familijnym w majętności Głuchów. Spoglądając na półwiekową działalność i pracę śp. Michała Falkowskiego, nie można pominąć jej milczeniem i dla tego poświęcamy choć kilka słów pamięci jego żywota. Po ukończeniu studyów prawniczych osiadł ś. p. Michał Falkowski na roli w majętności swej Głuchów i wkrótce dał się poznać swymi uczynkami jako wierny syn Polski, zacny i prawy obywatel, który poświęcając sprawy prywatne, oddawał się z zamiłowaniem sprawom publicznym i działał z najlepszym skutkiem dla dobra kraju, powiatu i swej gminy. Ze względu na to, jakoteż dla cenionej wiedzy, bywał śp. Falkowski często wybierany do różnych ciał reprezentacyjnych i komisyi i wywiązywał się z uznaniem z zaufania w nim położonego. Przy końcu żywota był zniewolony z powodu ciężkiej choroby usunąć się od życia publicznego w zacisze domowe, gdzie też zgasł ku żałobie ogólnej i pozostałej rodziny. Cześć jego pamięci!

Pożar w Ostapiu. Z Grzymałowa nam piszą: W dniu 18 bm. o godzinie 4 rano wskutek silnego napalenia w piecu zajęły się boczne ściany z drzewa w pałacu w Ostapiu, majątku p. Wacława Zaleskiego, syna byłego ministra, wskutek czego cały pałac zgorzał, a jedynie silny ratunek i energiczna akcya wójta gminy Andrucha Mudrego, niemniej rozporządzenia komendanta grzymałowskiego posterunku żandarmeryi p. Ludwika Ujwary i żandarma Franciszka Klaja, nie dozwoliły szalonemu żywiołowi rozpasać się w całej sile i oprócz samego pałacu, nic więcej nie zgorzało, a nawet oranżerya w tym samym budynku się mieszcząca, została uratowaną.

P. Paweł Bortnik, zawiadowca folwarku, niemało ucierpiał przy ratunku, poparzył się, aby coś tylko uratować z wnętrza pałacu.

Szkoda wynosi wraz z meblami i innemi rzeczami około 70.000 złr.; asekurowanym był budynek na 17 000 złr. Mimo małych rozmiarów, pałacyk ten bowiem liczył zaledwie 6 pokoi, urządzenie było wykwintne.

Policya ogniowa w Ostapiu nie pozostawia nic do życzenia, przyrządy ogniowe są w porządku. A Skałat, miasto powiatowe, nie ma ani dobrej sikawki, ani haków, — jednem słowem nic. Niechaj weźmie przykład z porządnej wsi.

Walne zgromadzenie Towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania polskiego z r. 1863/4 odbyło się w niedzielę w sali kasyna miejskiego. Obradom przewodniczył prezes Towarzystwa p. J. K. Janowski, pióro prowadził p. Ksawery Gebhard. Ze sprawozdania przedłożonego walnemu zgromadzeniu dowiadujemy się, iż rok ubiegły był bardzo pomyślny dla rozwoju Towarzystwa. Przychody były znacznie większe, niż lat poprzednich i powiększyła się także liczba członków. W roku zeszłym przyjęto 107 nowych członków czynnych, a 44 wspierających; przez śmierć utraciło Towarzystwo 17 członków czynnych, a 8 wspierających. Obecnie liczy Towarzystwo 1027 członków. Dochody w roku zeszłym wynosiły 4570 złr. 88 ct, rozchody 4305 55 ct. Sprawozdanie przyjęto do wiadomości i udzielono Wydziałowi absolutoryum. W dalszym ciągu uchwaliło zebranie udać się z prośbą do lwowskiej Rady miejskiej, aby wyznaczyła na cmentarzu łyczakowskim miejsce na groby dla uczestników powstania. W końcu przystąpiono do wyboru prezesa i czterech członków Wydziału Towarzystwa, którym dnia 21 bm skończył się trzechletni okres ich urzędowania. Na wniosek Wydziału wybrano ponownie prezesem p. J. K. Janowskiego, wydziałowymi zaś ponownie pp. Tadeusza Romanowicza, ks. Franciszka Sawę, Leona Syroczyńskiego i Ludwika Zielonkę.

Egipska choroba oczu. Znany okulista dr. E Fuchs, profesor uniwersytetu wiedeńskiego, odbył podróż naukową do Egiptu, i powróciwszy z niej, miał w zeszły poniedziałek pierwszy wykład o egipskiej chorobie oczu (trachoma). O chorobie tej wypowiedział dr. Fuchs kilka bardzo zajmujących spostrzeżeń. Wspomniał, że trachoma znaną była już w starożytności; wskazują na to liczne wkraplacze i tygielki z maściami znajdowane przy mumiach, oraz recepty zawarte w papyrusie Ebersa. W wiekach średnich była trachoma również znaną, o czem łatwo przekonać się można z pism żydowskiego lekarza Obanii. Dziś choroba ta jest w Egipcie nadzwyczaj rozszerzoną. Pewien lekarz francuski, stanąwszy na rogu jednej ulicy Kairu, przekonał się, że na 100 przechodniów było 20 zupełnie ciemnych, 10 ślepych na jedno oko, a 20 dotkniętych rozmaitemi chorobami oczu. W szpitalach kairskich napotkał dr. Fuchs pacyentów, dozorców i lekarzy arabskich, chorych na trachomę. Choroba ta w Egipcie jest daleko złośliwszą niż u nas, gdyż u nas wpływa ujemnie tylko na wzrok, w Egipcie zaś jest przyczyną znikania gałki ocznej.

Przyczynę tego ogromnego rozszerzenia się trachomy upatruje dr. Fuchs: 1) w występującej po każdym wylewie Nilu zarazie, 2) w przenoszeniu zarazka chorobowego przez muchy, które szczególniej lubią siadać na oczach dzieci i zarażają je trachomą, i 3) we wrodzonej do tej choroby skłonności Egipcyan. Europejczycy, którzy jako dorośli osiedlili się w Egipcie, rzadko podlegają tej chorobie; częściej zaś chorują ich dzieci, zapewne zarażają się od służby. Za przyczynę tak olbrzymiego rozszerzenia się tej choroby w Egipcie uważać należy także niechęć u Egipcyan do czystości i do poddania się przepisom lekarskim.

U nas — zakończył dr. Fuchs — choroba ta nie rozszerza się bardzo, bo natychmiast zapobiega się jej rozmaitymi środkami lekarskimi, a rozszerzeniu jej kładzie się tamę przez izolowanie chorego od innych ludzi.

Z Tarnopola nam piszą: W Kozinie obok Podwołoczysk zmarł Jan Bieniecki, syn Władysława, właściciela dóbr ziemskich, w 20 roku życia. Śp. Jan stał się ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Podczas przejażdżki koń zaprzężony do wózka nagle spłoszył się i począł unosić, a nieszczęśliwy młodzieniec, wyskakując z wózka, tak silnie uderzył się w klatkę piersiową, iż nabawił się śmiertelnej choroby, która w krótkim czasie położyła kres jego życiu.

Tutejszy posterunek żandarmeryi aresztował kantorzystę zajętego w interesie zbożowym firmy M. Erdheima, młodzieńca dwudziestoletniego, na którego pada podejrzenie, iż jest sprawcą kradzieży znaczniejszej kwoty pieniężnej (około 2.000 złr.) na szkodę swego szefa.

Zmarli. Jan Pawlikiewicz, weterynarz powiatowy, umarł w Stanisławowie, w 44 r. życia.

Stan powietrza. Term. — 4° o godz. 8 rano, w poł. 0° R. Barom. 769. Pogoda.

Szczyty.

Szczyt kochliwości — zakochać się w babie wielkanocnej.

Szczyt naiwności — prosić o jałmużnę w urzędzie podatkowym.

Szczyt lenistwa — nająć służącego, aby cię w nocy przewracał z boku na bok.

Szczyt grzeczności — zrana wstawszy z łóżka i spojrzawszy w zwierciadło, przeprosić siebie za to, że się jest bez krawata.

Szczyt nieśmiałości przed kobietami — zarumienić się na widok szyldu „Modes et Robes".

Szczyt wzroku — zobaczyć własne błędy.

Szczyt słuchu — w prośbie o pożyczkę posłyszeć zapowiedź nieoddania długu.

Szczyt chyżości — biegać dokoła okrągłego stołu tak szybko, żeby samemu sobie dać kułakiem w kark.

Szczyt roztargnienia — rozbierając się wieczorem, położyć surdut do łóżka, a samemu przewiesić się przez poręcz krzesła.

Szczyt fantazyi — wyrzucić siebie przez okno z 4 piętra i wyobrażać sobie, że się jest spadającą gwiazdą.

Literatura i Sztuka.

* **„Tygodnik ilustrowany".** Najstarszem z istniejących w Polsce pism ilustrowanych i bez wątpienia trzymającem ciągle jeszcze prym w tym dziale czasopiśmiennictwa, jest warszawski *Tygodnik ilustrowany*. Obecnie drukuje się tam powieść Klemensa Junoszy „Bies z piasku", wspomnienia z podróży ks. Jełowickiego p. tyt. „Galilea i Liban", Maurycego Jokaja „Kartka ze wspomnień" i fragmenty z krotochwili trzyaktowej Jordana pod tyt. „Myszy bez kota". Z ilustracyi wyróżnia się w ostatnim numerze duża i świetnie wykonana reprodukcya obrazu Henryka Siemiradzkiego pod t. „Sąd Parysa".

Bankiet poselski

na cześć Ich Eksc. pp. ministrów Jaworskiego i Madeyskiego.

W wielkiej sali radnej Wydziału krajowego w gmachu sejmowym, pięknie udekorowanej kwiatami i zielenią, odbył się wczoraj wieczór bankiet, dany przez posłów sejmowych na cześć Ich Ekscellencyi pp. ministrów **Jaworskiego i Madeyskiego.** Do stołu zasiadło 112 osób. W bankiecie wzięli udział prócz dostojnych gości JE. pp. ministrów, JE. p. Namiestnik hr. Kazimierz Badeni, JE. ks. arcybiskup Morawski, JE. ks. arcybiskup Issakowicz, JE. ks. metropolita Sembratowicz, niemal wszyscy posłowie sejmowi obecni we Lwowie, kilku posłów do Rady państwa, oraz radzca dworu hr. Łoś, radzca Wydziału krajowego dr. Ekielski i kierownik kancelaryi sejmowej Jan Antoniewicz.

Podczas całego bankietu panował nastrój poważny, a jednak nader serdeczny.

Szereg toastów rozpoczął JE. Marszałek krajowy ks. Eustachy **Sanguszko**, który przemówił w następujących słowach:

Przypadł mi w udziale zaszczyt przemawiania w imieniu grona posłów sejmowych do naszych wielce szanownych gości Ich Ekscellencyi panów ministrów. Wyraz: „gości" przeraził mię cokolwiek swem zimnem, ale przecież są oni obecnie naszymi gośćmi, bośmy ich zaprosili, aby ich uczcić tą wspólną ucztą — a jednak mężów więcej naszych, więcej z nami wszystkiem związanych chyba być nie może.

Jeden z nich to wczoraj jeszcze wódz nasz parlamentarny w Wiedniu, który z poświęceniem pracował długie lata dla kraju jako wybitny szeregowiec, a później jako przywódzca, umiał przechować dawną a świetną tradycyę Grocholskiego w czasach nader trudnych z poświęceniem i wytrwałością, która wymusza uznanie i wdzięczność wszystkich myślących obywateli tego kraju.

Nie wolno! Przepisywaniem trudnią się kanceliści. Ich to czynność.

— Gdyby pomnożyć szczupły dochód pokątnem doradzaniem prawnem, odrabianiem interesów sądowych.

Niech Pan Bóg broni! Gdy weźmiesz fenig po za pensyą, wypędzą cię sromotnie ze służby, a nadomiar wytoczą proces jako oszustowi, złodziejowi, okują cię w kajdany i osadzą jak najgorszego w domu karnym.

— *Fiat justitia, pereat mundus!* Cóż to kogo może obchodzić, że ci pensyjka nie wystarcza? Wiedziałeś, że nie dostaniesz więcej, przeto zastosuj się albo won! Jeżli ci się nie podoba, możesz sobie iść, lecz dopóki siedzisz na krześle skarbowem jako urzędnik, pracuj i bądź czystym, jako kryształ nieskażony. Pilność, sumienność i uczciwość, oto najgłówniejsze zalety urzędnika niższego. Rozumu twojego nie potrzebujemy. Są od tego wyżsi dygnitarze.

Pan Pomiderski pracował codziennie od godziny ósmej z rana do pierwszej i od trzeciej po obiedzie do szóstej. Regularnym był, jak zegarek, sumiennym, jak urzędnik pruski, a grosza nie wziął od nikogo. Raz przyniósł mu jakiś chłop, który wygrał sprawę, gęś w prezencie, ale p. Pomiderski tak się oburzył, że denuncyował poczciwinę za przekupstwo.. Jakto? Ten łotr śmiał posądzić królewsko pruskiego urzędnika o łapownictwo! Rzecz niesłychana, obelga straszliwa, zasługująca na srogą karę.

Chłop zapłacił za dobre swe serce wysoki „sztraf", pan asystent gniewał się jeszcze po kilku latach, gdy mu ktoś ową gęś przypomniał.

— Rzecz niesłychana — powtarzał, rumieniąc się z oburzenia. — Mnie chciał przekupić? A słowo stało się ciałem...

Ale te pochwały godne zasady nie rozwiązywały wcale zagadki: jak utrzymać z 300 talarów przyzwoity dom, jak ubrać siebie, żonę, zapłacić meble, wypić też czasem kufelek piwa, wyjść z połowicą do ogródka, zabawić się, zaabonować choćby najtańszą gazetkę, kupić lichą książczynę.

Pan Pomiderski pracował dniami, a wieczorami kalkulował i marzył. Kalkulował, w czemby zaoszczędzić, czegoby sobie odmówić. Jeść trzeba, ubrać się trzeba także, mieszkać gdzieś również. No, ale bez piwa, bez tytoniu, można się obyć.

Więc gdy mu się urodziło pierwsze dziecko, zaprzestał wieczornych posiedzeń w piwiarni i odzwyczaił się od palenia cygar.

Marzył? A tak! Marzył o podwyżce pensyi, która osładzała jego biedę.

— Jest jeszcze przedemną dwudziestu starszych asystentów, a przed tymi dwudziestu sekretarzy i pięciu radzców. Radzcy, niemłodzi ludzie, muszą kiedyś umrzeć, a wtedy posunie się szereg w górę. Żeby sobie prędko poszli, nażyli się chyba dosyć...

Ale radzcy, którzy „marzyli" niegdyś tak samo, jak on, nie spieszyli się jakoś ze śmiercią. Żyli a żyli, bodaj ich.

Nareszcie „trzasnął jeden kopytami," jak się Pomiderski wyraził, przeniósł się *ad patres*, jak zawołał z radością, gdy mu oświadczono, że powiększono mu pensyę o 50 talarów.

Ważny ten wypadek zdarzył się w dziesięć lat po ślubie pana asystenta, który był już ojcem pięciorga dzieci.

Na rachunek tej podwyżki, której się spodziewał, nakupił sukien dla swego „drobiazgu," więc kiedy przyszła rzeczywiście, nie było jej już właściwie.

I znów zaczął pan Pomiderski kalkulować i marzyć.

— Na co mnie co rok nowy tużurek, a żonie nowa suknia — kalkulował. — To zbytek. Nie jesteśmy już młodymi, abyśmy się potrzebowali stroić.

— Na co jeść codziennie mięso — dodawała żona. — Chłopi nie jedzą, a są zdrowsi od nas. Lepiej wychować uczciwie dzieci.

— Masz słuszność, żonusiu. Kto widział opakowywać się mięsem. Ono i tak nie zawsze dobre.

Odtąd jadał pan Pomiderski raz na tydzień mięso, a jego dzieci obywały się zupełnie bez tego przysmaku. Chodziły za to do szkoły, uczyły się, blade i wyniszczone, do papierków podobne.

— Gdy mi podwyższą, wtedy powetujemy sobie — pocieszał pan Pomiderski swą rodzinę.

„Podwyżka" pensyi stała się jego nadzieją i utrapieniem, osłodą i upiorem. Ścigała go ona ciągle, w dzień i w nocy, rano i w południe, strasząc go lub napełniając radością. Starsi koledzy żyli bez końca, a on czekał i czekał...

* * *

W pierwszej restauracyi małego miasteczka siedziała przy stole w porze obiadowej, zabawna para.

Na jednem krześle chwiał się staruszek, brząkając łyżką w talerz, a obok niego, na drugim stołku, spoczywał duży biały pudel, mający przed sobą także całe nakrycie.

Lokaj obsługiwał zarówno pana jak psa.

— A daj Hektorowi dobry bifsztyk. Wczorajszy był zanadto wypieczony.

— Słucham, panie radzco.

— A nie zapomnij o leguminie, Hektor lubi słodkie rzeczy.

— Według rozkazu, panie radzco.

— Co wolisz: kotlet cielęcy, czy cąberko zajączka? — zwrócił się staruszek z zapytaniem do pudla.

Pies machnął ogonem, potarł mordę o rękaw pana i zaczął swój talerz wylizywać.

— Spiesz się, Wojciechu; patrz, jak mój Hektor głodny.

— W tej chwili będzie, panie radzco.

Jakiś młody mężczyzna przystąpił do stołu.

— Pan radzca zawsze ze swoim pieskiem? — zapytał.

— A jakże, mocium panie. Jedyny to dziś mój towarzysz i przyjaciel — odparł radzca. — Miałem ci ja niegdyś żonę i dzieci, ale Maryśnię moją zabrała bieda. Dobre to było kobiecisko, lecz nie wytrwało do końca. Troje dzieci poszło za matką, jeden chłopak zginął na wojnie we Francyi, a drugi przepadł gdzieś w świecie. Posyłałem go do szkół, a kiedy nie mogłem przeprowadzić go przez wszystkie klasy, poszedł szukać szczęścia między obcymi, i co się z nim stało, nie wiem. Może wróci kiedyś. Szkoda, że go nie ma przy mnie; mógłbym mu teraz dać dobry obiad. Tak to u nas, panie kochany. Kiedy człowiek młody, kiedy posiada zdrowy żołądek, rodzinę i chęć do życia, wtedy nie ma co jeść. Dziś płacą mi pensyę, z której mógłbym wychować pięcioro dzieci; ale stało się to po niewczasie. Co mi teraz po radzcostwie, co po znacznych dochodach i zaszczytach? Nie mam z kim podzielić się tem szczęściem!

Radzca zwrócił się do psa i zapytał:

— A czarnej kawy napijesz się, hę?

Młody mężczyzna zachmurzył się i mruknął:

— Po co ten trup żyje? Dlaczego nie idzie „*ad patres*", lecz zawadza tym, którzy na niego czekają? Byłby już czas, aby ten stary Pomiderski „trzasnął kopytami". Możeby mnie podwyższyli.

Byłto także urzędnik sądowy, rozpoczynający dopiero „kalkulowanie i marzenie".

T. J. Choiński.

Drugi, to nasz świetny mówca, to nasz wytrawny referent klubu Koła polskiego i naszej *Almae matris Jagellonicae*, którego głos tylekroć elektryzował Sejm nasz świetnością wywodów, a o którego pracy komisyjne wiedziećby mogły.

Dziś powołani zaufaniem Najjaśniejszego Pana w poczet członków jego rady. Że na tych wysokich stanowiskach, nie tracąc z oka całości interesów państwa, pozostaną wiernymi synami tego kraju, o tem wiemy dobrze. To też rzec mogę bez obawy zaprzeczenia ktokolwiek, że silni są nietylko tem, co są mężowie stanu warci, ale silni są także poparciem naszych reprezentacyi, poparciem całego kraju, bo kraj za nimi stoi.

Wiemy, że pójdą tą samą drogą, którą nasza reprezentacya dotąd kroczyła, bo możemy stwierdzić, że szła ta reprezentacya nasza zawsze drogą prostą, uczciwą, konsekwentną i rozumną. Obok skrzętnego czuwania nad interesami kraju ochotnie popierała interes ogólny państwa i starała się zawsze, by nawa państwowa mogła płynąć dalej silna i celów swych świadoma.

Pozostała ta nasza reprezentacya w dawnym składzie większości do końca, wierna swym sprzymierzeńcom i kierownikom Rządu, którzy przez długie lata Austryą rządzili. Z epoki tej mamy wszelkie powody być zadowolnieni, a rządy ministeryum hr. Taaffego pozostawiły w kraju naszym wspomnienie dobre.

Kiedy nie z naszej winy rozchwiała się ta większość, trzeba było stworzyć inną, by maszyna państwowa mogła funkcyonować dalej.

Pozostała nasza reprezentacya konsekwentną sobie, wchodząc w kombinacyę inną, wnosząc do niej swą wypróbowaną polityczną szczerość i świadomość powagi podjętego zadania.

Tak tedy Szanowni Panowie Ministrowie życzymy Wam szczęścia w waszem trudnem zadaniu z całego serca, życzymy rządom waszym pomyślności dla pożytku państwa i kraju, życzymy, aby pod waszym doświadczonym sterem płynęła dalej ta nawa państwowa bezpiecznie i spokojnie wśród ciężkich i wrogich czasów obecnych, życzymy, by pozostała i nadal, czem była i czem być powinna, — przybytkiem sprawiedliwości dla ludów Austryi. Niech żyją. (Oklaski i brawa).

Następnie przemówił JEksc. p. minister **Jaworski**:

Raczcie Szanowni Panowie przyjąć nasze najserdeczniejsze podziękowanie za ten nowy dowód waszej dla nas życzliwości. Racz przyjąć dostojny marszałku serdeczne podziękowanie za słowa uznania dla naszej działalności. Są one dla nas otuchą w spełnianiu ciężkich naszych obowiązków.

Co do mnie, powołany łaską Najjaśniejszego Pana do gabinetu, nie będę pełnił obowiązków poselskich, jak to czyniłem przez 23 lat, ale zawsze otoczę prace sejmowe jak najtroskliwszą pieczołowitością. Jak żegnając się z wami w Radzie państwa, tak i teraz duszą i ciałem pozostaję z Sejmem i krajem.

To dostojne grono, które nas ugaszcza, i miejsce, gdzie to się odbywa i ten obraz, przed którym stoimy, to dobra dla nas wróżba. Obraz ten, to Unia Matejki — Unia to łączność, a łączność to jedyna droga do przezwyciężenia wszelkich trudności, to jedyny środek do zwycięstwa. Łączność, ufność w Bogu, praca usilna, musi w końcu odnieść zwycięstwo. To co się w kraju stało od 30 lat, to daje nam otuchę, że i w przyszłości prace sejmowe wydadzą owoce pomyślne dla kraju. W tym roku będziemy mieli Wystawę. Jakie ekonomiczne jej będą rezultaty, o tem nie chcę mówić — ale jeden rezultat jest pewny, że kraj w krótkim czasie zdołał się podnieść a podnieść się zdołał, ponieważ korzystał z najszczodrobliwszej dobroci Monarchy. Wnoszę toast na cześć Sejmu, na pomyślność kraju, (Oklaski).

Następnie przemówił J. E. P. Minister oświaty **Madeyski**, mniej więcej w te słowa:

Słowa wypowiedziane przez dostojnego Marszałka nietylko ciepłem swojem wnikają głęboko w serce, ale nadto dodają otuchy do pracy na stanowisku, które zajmujemy z łaski Najmiłościwszego Monarchy, na podstawie naszego systemu, a system ten, to koalicya. Na pytanie, kto zrobił koalicyę w Wiedniu, jest tylko jedna odpowiedź: radykalizm. Ten wdarłszy się we wszystkie dziedziny życia politycznego, zmusił umiarkowane żywioły do łączności celem odparcia grożącego z tej strony niebezpieczeństwa, choćby chwilowo zagrażającego. Koalicya to wypływ rozumu, a wykonanie koalicyi opiera się na panowaniu nad sobą i zaparciu się. Następnie podniósł J. E. P. Minister, że z przekonania wszedł do gabinetu, bo spostrzegł, że nic do koalicyi tak nie przygotowuje, jak polityczne życie Polaka. Tyle w tem życiu politycznem naszem było zaparcia się i panowania nad sobą. W naszem Kole polskiem solidarność jest wynikiem tej strony działalności naszej politycznej. Tak samo i w Sejmie, pomimo, że tu nie obowiązuje solidarność, także i w zarządzie kraju ta sama myśl się ujawnia. Na tych typach swojskich kształcony, będę pracował w kierunku wytkniętym przez reprezentantów dwóch władz krajowych harmonijnie ze sobą działających, za którymi kraj cały stoi. Piję zdrowie Panów Namiestnika i Marszałka krajowego. (Oklaski).

Ostatni przemówił prezes Akademii umiejętności poseł St. hr. **Tarnowski**: Zwyczaj żąda od nas zawsze, a odemnie dziś zaszczytne wezwanie tego pięknego życzenia, które odnosi się do zdrowia i powodzenia nie jednego człowieka, ale ogółu. Myśl jest piękna, może nawet głęboka. Zdrowie ogółu od tego zależy, czy i jak jego szczegóły, części, ludzie, czy ich pewne połączenia kochać się między sobą umieją. Może to i dobre świadectwo i niejaka otucha, że to życzenie „kochajmy się“ jest spacyficznie polskim toastem. A jednak choćbym miał kogo zadziwić lub zgorszyć, muszę wyznać, że wypowiedzenie tego życzenia przychodzi mi zawsze trudno nieledwie z przykrością. Nie, żebym był skłonnym do uczuć złych, a w niechęci i zawiści znajdował przyjemność; ale między pięknem życzeniem a jego spełnieniem widzę zawsze trudności i przeszkód wiele i pytam nie bez frasunku, czy tradycyjnie powtarzane życzenie może się stać kiedy na prawdę rzeczywistością. W rodzinie, w gronie przyjaciół, zbliżonych ku sobie wewnętrznym jakimś pociągiem, a połączonych jednakiem pojęciem wszystkich zagadnień, stosunków i obowiązków życia, kochać się jest łatwo. W życiu publicznem trudniej. Tu nawet kiedy cel pojmuje się i miłuje jednako, to drogi do niego widzi się i rozumie rozmaicie. Osiągnięcie celu zależy od dróg i środków. Te, które ja mam za jedynie dobre i zbawcze, drugiemu wydają się szkodliwe i zgubne; a ta różnica daje się czuć i widzieć zawsze i wszędzie, na każdym kroku i w każdej chwili, w największych sprawach i w najdrobniejszych szczegółach publicznego życia.

Cel miłuję nad wszystko i dążę do niego wszystkiemi siłami, a ta droga, którą mi drugi wskazuje, którą sam kroczy i innych prowadzi, według mojego sumienia i rozumienia, nie do celu wiedzie, tylko owszem od celu. Jakże ja tego człowieka mam kochać, kiedy myślę i wierzę, że on kaleczy, albo niweczy to, co kocham?

A więc nie może być w życiu publicznem jedności i miłości? A więc życzenie „kochajmy się“ musi zostać zawsze pięknym ale marnym dźwiękiem, powtarzanym przez pokolenia bez skutku? Sądzę, że tak nie jest, sądzę, że są warunki, pod którymi ludzie uczciwi i dobrej wiary i woli, choćby różni w zdaniach, mogą w życiu publicznem nie tylko się znosić, nie tylko szanować, ale nawet kochać.

Jakie są te warunki?

Nie chciałbym wydać się kaznodzieją do czego ani pretensyi ani prawa nie mam; ale nie mogę powstrzymać się od uwagi, nie nowej ani dziwnej, że Kościół jest bardzo mądry, i że prawidła, jakie on daje religijnemu i duchownemu życiu, mogą stosować się przydać się doskonale w życiu świeckiem i politycznem.

Jedność wiary określa, osiąga, utrzymuje Kościół znaną formułą: *In dulcis libertas, in necessariis unitas, in omnibus charitas.* Ta sama zasada, mogłaby, szanując i salwując różność zdań osiągnąć i utrzymać jedność dążenia i działania w życiu politycznem między ludźmi, którzy cel jednako miłują, jeżeli tylko środki nie wprost przeciwnie, nie wręcz odwrotnie pojmują. Jak daleko więc sięgać może różnica zdań? Co jest dla dobra kraju i sprawy *dubium*, a co *necessarium*? To wiedzieć, na to się zgodzić może nie tak trudno, tu naprzykład wątpliwem nie jest, że jakakolwiek jest forma społecznego bytu i jego rządu, to jego natura i warunki trwałego i pomyślnego bytu są zawsze i wszędzie te same. Nie ma pomyślności bez wolności, nie ma wolności bez ładu, nie ma ładu bez głowy i władzy, nie ma trwałej władzy bez sprawiedliwości i sumienia, nie ma społeczeństwa, nie ma człowieka bez Boga. I to także nie *dubium*, że społeczeństwo, naród, t. j. jednostka, całość, organizm, więc część które się za całość chce uważać, albo wszelka myśl, dążność, namiętność czy polityka, która część jedną przeciw drugiej podburza i jątrzy, osłabia ten organizm, rozkłada tę jedność, wprowadza albo utrzymuje i pielęgnuje niemoc. I to dalej nie *dubium*, że społeczeństwo, które obce zewnętrzne interesa do wpływu na swoje sprawy dopuszcza, które do nich swe zamiary i kroki stosuje, zrzeka się zgodności i niezależności swojej a w pożytku śmiech ludzki, płacz własny odnosi.

Na to nie brak dowodów niestety; tą powolnością dobiła się nasza dawna Rzeczpospolita, a po jej upadku już czyśmy nigdy obcej polityce i potrzebie nie zawiele dawali ucha i wiary? To niewątpliwie, że własny cel, własna polityka, własna korzyść jest jedynie pewnym regulatorem działań, a łatwowierność czy powolność czy dopiero życzliwość względem obcych a niepewnych dążności czy haseł, jest zawsze zła i w skutku tylko szkodę przynosi.

Takich niewątpliwych pewników jest więcej, a gdy one nie są wątpliwe, więc nie może być wątpliwym obowiązek oporu przeciw wszelkim zjawiskom czy dążnościom, które tym warunkom zdrowia i bytu grożą. Na tej granicy kończy się wolność i równość zdań zaczyna się konieczność jedności *In necessariis unitas*. Potrzebna jest stałość i jedność postępowania naprzeciw zewnętrznych sił, interesów czy dążności. Tę znamy dobrze: ona jest tajemnicą i przyczyną tej polskiej i poselskiej solidarności, którą dochowujemy w Radzie państwa, której zawdzięczamy wszelkie skutki naszych starań i działań, której ostrzedz i dochować winniśmy tem bardziej, im zawilsze i trudniejsze stają się polityczne i społeczne tego państwa stosunki.

Następnie przeszedł mówca do omówienia trzeciej zasady *im omnibus charitas*. Ta najtrudniejsza zapewne, bo ją w życiu publicznem każda różnica zdań, temperamentów, przyzwyczajeń osłabiać i nadwerężać może. Ależ nie chodzi tu o tę wrodzoną instynktowną sympatyę, która jednego człowieka robi drugiemu miłym. Ani o tę czułość miękką, która dziś rozrzewnia się i rozpłacze nawet, a jutro pamiętać, kochać i działać przestaje. Niezgodą marnieją narody... Chodzi o tę miłość polityczną, która jak chrześcijańska *charitas* z wyższych płynie, a jak tamta miłością Boga, tak ta miłością ojczyzny podnoszona jest do wyższej natury, uszlachetniona w swojej całości.

Wkońcu mówca wzniósł toast „Kochajmy się!“

Obowiązki gospodarzy podczas uczty spełniali pp. Gorayski, Franciszek Jędrzejowicz i Schnell.

Podczas bankietu przygrywała muzyka 30 pułku piechoty pod kierownictwem kapelmistrza Rolla.

SEJM.

VIII posiedzenie z d. 25 stycznia.

Posiedzenie dzisiejsze zagaił ks. Marszałek o g. 11 m. 15.

Odczytano spis petycyi, których liczba wynosi już z górą 800, P. Midowicz popierał petycyę gminy m. Pilzna o interwencyę u rządu w sprawie naprawy mostu, a p. Popowski petycyę gminy miasta Stróże o zapomogę i odpisanie podatków.

Następnie zabrał głos komisarz rządowy hr. **Łoś** i odpowiedział na wniesioną na ostatniem posiedzeniu przez p. Potoczka interpelacyę co do wrzekomego ścieśnienia i ograniczenia prawa noszenia broni.

Otóż komisarz rządowy oświadczył, że prawo posiadania i noszenia broni, unormowane cesarskim patentem z roku 1852, nie zostało żadnemi późniejszemi rozporządzeniami ani ścieśnione, ani ograniczone. W szczególności mogą bez specyalnego pozwolenia nosić broń ci, którzy dla przemysłu swego muszą robić użytek z broni. Ponieważ jednak, ani rolnictwo, ani polowanie nie jest przemysłem, przeto postanowienie to nie ma zastosowania ani do rolników, ani do dzierżawców polowań. Zresztą można nosić broń tylko za uzyskaniem karty na broń, a kartę taką otrzymać może tylko osoba niepodejrzana. O tem, czy karta na broń ma być pewnej osobie wydana, orzekają władze administracyjne w toku instancyi, a zatem nie ma racyi zarzut, że władze I instancyi mają zanadto wielką swobodę w ograniczaniu prawa noszenia broni. — Zresztą kto nie ma karty na broń, może mimo to dzierżawić polowanie, jednakże prawo polowania może wykonywać tylko przez uprawnionych i uzdolnionych myśliwych. — W obec tego nie widzi rząd powodu wydawania specyalnych zarządzeń, któreby wszystkim właścicielom i dzierżawcom polowania przyznały prawo noszenia broni.

Następnie zawiadomił ks. Marszałek, że komisya podatkowa ukonstytuowała się, wybierając p. Abrahamowicza prezesem, p. Weigla wiceprezesem a p. Rogoyskiego sekretarzem.

Przystąpiono do porządku dziennego.

Sprawozdanie Wydziału krajowego co do zakładania powiatowych i gminnych kas oszczędności na podstawie nowego, wzorowego statutu, wydanego dla tych kas, odesłano do komisyi gminnej, a sprawozdanie o zamknięciu rachunków fundacyi St. hr. Skarbka za rok 1891, do komisyi budżetowej.

Następnie udzielił Sejm następujących koncesyi do pobierania opłat mytniczych:

1. Obszarowi dworskiemu wspólnie z gminą w Boryniczach od mostu na rzece Suchodołce; 2. Obszarowi dworskiemu w Sufczynie od mostów na rzece Stubnicy; 3. Gminie wspólnie z obszarem dworskim w Sokołowie od mostów na drodze gminnej z Bolechowa do kolei lwowsko-czerniowieckiej; 4. Obszarowi dworskiemu w Glinny od mostów na rzece Strypie; 5 Obszarowi dworskiemu wspólnie z gminą w Nadolanach od dwóch mostów położonych przy drodze gminnej w Nadolanach; 6. Gminie wspólnie z obszarem dworskim w Zarwanicy od mostu na rzece Strypie; 7. Obszarom dworskim w Korniowie i Uniżu od przewozu przez rzekę Dniestr w Korniowie; 8. Gminie w Gromcu od przewozu przez rzekę Wisłę w Gromcu; i obszarom dworskim: w Jankowicach od przewozu przez rzekę Wisłę w Jankowicach; w Szczucinie od przewozu przez rzekę Wisłę pod Łęką Szczucińską; w Babicach od przewozu przez rzekę San w Babicach; w Krasiczynie od przewozu przez rzekę San w Krasiczynie.

Z kolei p. Emil **Torosiewicz** w krótkiem przemówieniu uzasadniał swój wniosek o poparcie misyi katolickich we wschodniej Galicyi subwencyą 3.000 zł. Wniosek ten jest ponowieniem zeszłorocznego wniosku, który nie został załatwiony.

Izba przekazała go komisyi budżetowej.

P. **Merunowicz** uzasadniał swój wniosek zmierzający do ponowienia przez Sejm rezolucyi z żądaniem, aby ustawodawczo zaprowadzono przymus ubezpieczenia nieruchomości od szkód ogniowych. Mówca uważa za potrzebne wznowienie tej sprawy w Sejmie w obec silnych wpływów pracujących nad tem, ażeby kwestya przymusu asekuracyjnego rozstrzygniętą została w Radzie państwa w sposób odmienny jak wskazał Sejm galicyjski w powtarzanych już trzykrotnie uchwałach. Mianowicie domagał się nasz Sejm, aby w Radzie państwa uchwalono ustawę orzekającą ogólną zasadę przymusowego ubezpieczenia budynków od ognia, z pozostawieniem ustawodawstwu krajowemu szczegółowego określenia sposobu przeprowadzenia tej zasady, lecz bez monopolu dla któregokolwiek zakładu asekuracyjnego. Potężne wpływy wiedeńskie pracują jednak nad tem, aby asekuracya budynków została zcentralizowaną w ogólnym, całe państwo obejmującym państwowym zakładzie ubezpieczenia, gdy znów teraźniejszy minister handlu hr. Wurmbrand jest wprawdzie zwolennikiem uznania przymusu asekuracyjnego za sprawę krajową, lecz zmierza do monopolu dla zakładów krajowych, co także nie jest zgodnem z intencyami galic. Sejmu.

P. Merunowicz sądzi, że z hr. Wurmbrandem możnaby wejść w kompromis w tym kierunku, ażeby skłonić go do wniesienia do Rady państwa projektu ustawy, którąby orzekała przymus asekuracyi budynków, uchylając myśl centralizacyi ubezpieczeń w zakładzie państwowym i oddawała załatwianie rzeczy sejmom krajowym. Pytanie zaś, w jakim zakładzie mają być ubezpieczenia dokonywane, ustawa państwowa ma pozostawić swobodnemu uznaniu każdego sejmu z osobna.

Mówca wnosi przeto, aby Sejm wezwał rząd, by przyspieszył zaprowadzenie przymusu ubezpieczenia budynków od szkód ogniowych w duchu uchwał Sejmu galicyjskiego z dnia 19 stycznia 1888 i 26 listopada 1888 i 20 maja 1893 roku.

Wniosek ten odesłano do komisyi administracyjnej.

P. **Olpiński** wspomniawszy o zasługach poety ruskiego ś. p. Markiana Szaszkiewicza, zaznaczył, iż wdowa po nim znajduje się w opłakanem położeniu. Obowiązkiem społeczeństwa, dla którego ś. p. mąż jej pracował, jest pospieszyć jej z pomocą, przeto mówca wnosi, aby Sejm Julii Szaszkiewiczowej, 76 letniej staruszce przyznał począwszy od 1 stycznia 1894 r. tytułem dożywotniego stałego zaopatrzenia 300 złr. rocznie. Wniosek ten odesłano do komisyi budżetowej.

Posiedzenie trwa dalej, następne w sobotę o godzinie 11 przed południem.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 23 stycznia.

(*Z.*) Po gorączkowej spekulacyi, jakiej widownią był targ nasz w ubiegłych tygodniach, nastał obecnie peryod stagnacyi. Giełda nasza była dziś niemal tylko niemym świadkiem zajść na targu berlińskim i paryskim. A targi te toczą ze sobą teraz zawziętą walkę o walory włoskie. Podczas gdy paryska giełda wszystkimi możliwymi sposobami zbija kurs renty włoskiej, berlińska skupuje ją i pcha w górę. Rezultat walki dzisiejszej był ten, że w Paryżu zamknięto rentę włoską na $73^1/_2$, w Berlinie zaś na $75^1/_2$. Opowiadano na giełdzie berlińskiej, że rząd włoski dobija już targu z finansistami angielskimi co do nowej operacyi finansowej, w Paryżu zaś mówiono, że parlament włoski dlatego tylko odroczono, iż rząd nie wie po prostu jak wykręcić się przed parlamentem i jakie sposoby ratunku podać. Bardzo korzystnie oddziałała na giełdę berlińską także pogłoska o pogodzeniu się cesarza z Bismarkiem. Nasza giełda, jakkolwiek była prawie bezczynna, zastósowała się jak zwykle do prądu wiejącego z Berlina, to też kursa podniosły się, jakkolwiek szeregi kupujących były bardzo nieliczne.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 353.50, węgierskie 427·—, Anglobanki 154·75, Uniony 259·50, Bankvereiny 125·50, Länderbanki 253·—. Ludwiki 217·50, Czerniowieckie 262·75. Elbethale 243·25, Renta papierowa 98·15, srebrna 97·90, austryacka złota 120·05, 4% austr. renta wal. kor. 97·30, węgierska złota 117·50, 4% węgierska renta wal. kor. 94·75 dukat 5·90, 20-frankówka 9·96—, marki 12·27, ruble $1·35^1/_2$.

§ **Do jeneralnej taryfy towarowej** kolei państwowych (edycya styczniowa 1894) wyszedł dodatek 1szy, który obowiązywać będzie od 1go lutego 1894.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 25 stycznia. Podczas rozprawy w tutejszym sądzie karnym przyszło wczoraj do scyssyi między obrońcą dr. Rosenfeldem a jednym z sędziów przysięgłych Klierem. Rosenfeld bronił niejakiego Fischera, który udając lekarza, dopuszczał się różnych oszustw, za które trybunał skazał go na sześć miesięcy więzienia. W toku rozprawy zadawali przysięgli oskarżonemu kilkakrotnie pytania, po każdem takiem pytaniu jednak obrońca ze swej strony zadawał pytania oskarżonemu, oczywiście wręcz przeciwne. W ten sposób niepodobna było wyrobić sobie jasnego pojęcia o tem, co oskarżony chciał powiedzieć. Wobec tego powstał przysięgły Klier i oświadczył, że z pytań obrońcy okazuje się, iż uważa on sędziów przysięgłych za ludzi bardzo ograniczonych. Na to zerwał się Rosenfeld i chciał złożyć obronę, gdyż zdaniem jego ów sędzia przysięgły jest przeciw niemu uprzedzony, a to może wyjść na niekorzyść oskarżonego.

Tutej ze pisma liberalne starają się nadać temu wypadkowi ogromnego znaczenia, nazywają go zajściem niebywałem i utrzymują, że jest on rezultatem wystąpienia prezydenta sądu hr. Lamezana przeciw obrońcom. (Hr. Lamezan przed kilku dniami wyraził swoje poglądy o instytucyi obrońców i rzekł, że dawniej najznakomitsi prawnicy uważali sobie za zaszczyt zasiadać na ławie obrońców i przyczynić się do wyświetlenia prawdy, to też byli oni rzeczywiście pierwszorzędnym czynnikiem sprawiedliwości, czynnikiem zupełnie równorzędnym trybunałowi i oskarżycielowi publicznemu. Dziś natomiast najwybitniejsi adwokaci mają wstręt występowania w roli obrońców, a gdy otrzymają jaką obronę z urzędu, wolą raczej zapłacić jakiemu biednemu koledze za zastępstwo, aniżeli sami bronić. Powodem tego, zdaniem Lamezana, jest ta okoliczność, że w szeregach młodych obrońców wytworzyła się dziwna praktyka. Oto nie pojmują oni swego zaszczytnego zadania tak jak dawniej, zapominają o tem, że obowiązkiem ich jest wyświetlać prawdę i podawać oskarżonemu pomocną rękę nad brzegiem przepaści, ale starają się koniecznie jakimbądź sposobem odznaczyć, aby o nich mówiono i pisano. To też nie starają się oni przekonać sędziów przysięgłych, ale przegadać ich. Przyp. Red.)

Belgrad 25 stycznia. Na wczorajszem posiedzeniu skupczyny zawiadomił przewodniczący Katicz, iż deputowany Giorgiewicz, mianowany ministrem, złożył mandat członka skupczyny. Następnie odczytano rozkaz królewski donoszący o dymisyi dawnego gabinetu a nominacyi nowego, poczem zabrał głos nowomianowany prezes gabinetu Simicz i wyłuszczył program rządowy. Przedewszystkiem podniósł Simicz, że gabinet obecny stojąc po za stronnictwami, pragnie opierać się na wszystkich stronnictwach. Dalszem staraniem rządu będzie utrzymywać prawidłowe i przyjacielskie stosunki ze wszystkiemi państwami. Rząd ma nadzieję, że posiadając już zaufanie korony, pozyska sobie także zaufanie skupczyny. W końcu postawił Simicz wniosek o zamknięcie sesyi, gdyż nowy gabinet musi obznajomić się z przedłożeniami, które mają przyjść pod dyskusyę.

Deputowany Rista Popowicz powstał następnie i chciał coś mówić. Simicz jednak zaprotestował przeciw temu, oświadczając, że nie skończył jeszcze swej mowy. To rzekłszy, wydobył jakiś dokument i chciał go odczytać, posłowie jednak narobili wielkiej wrzawy i nie dali mu przyjść do słowa. Simicz oddał więc ten dokument przewodniczącemu, a sam wraz z wszystkimi ministrami wyszedł z sali. Rista Popowicz zaczął tedy dowodzić, że nowy gabinet nie ma zaufania u skupczyny, poczem przewodniczący odczytał ów dokument, wręczony mu przez Simicza. Był to ukaz królewski, zamykający sesyę skupczyny. Wśród okrzyków na cześć króla rozeszli się posłowie.

Praga 25 stycznia. (Proces Omladiny). Wczorajsze przesłuchania oskarżonych nie przyniosły żadnych nowych szczegółów. Po południu odczytano bardzo wiele aktów i protokołów, odnoszących się do zamordowanego Mrwy, między innemi zeznanie Mrwy złożone w policyi. Dziś ukończone zostanie przesłuchanie oskarżonych.

Berlin 25 stycznia. O pojednaniu się cesarza z Bismarkiem opowiadają co następuje: Cesarz, który niebawem obchodzić będzie jubileusz 25-letniej służby wojskowej, napisał list do Bismarka, w którym zaprasza go na tę uroczystość, oświadczając, że nie może pogodzić się z myślą, aby w tym dniu nie widzieć przy sobie męża, który najwięcej przyczynił się do wyostrzenia oręża niemieckiego. List ten, wraz z butelką starego wina zawiózł Bismarkowi adjutant cesarski hr. Moltke. — Bismark odpowiedział na ten list bardzo serdecznie. Napisał mianowicie, że jeżeli tylko lekarz mu pozwoli, to przybędzie do Berlina już na urodziny cesarskie, w przeciwnym razie wypróżni przynajmniej w tym dniu na cześć cesarza przysłaną mu butelkę wina. Cesarz napisał wczoraj drugi list, w którym wyraża swą radość z zapowiedzianych odwiedzin i ofiaruje Bismarkowi najpiękniejsze pokoje w zamku.

Spodziewają się, że Bismark już jutro tu przybędzie. Mówią także, że cesarz sam wyjedzie na spotkanie Bismarka na dworzec. Caprivi — jak opowiadają — czytał oba listy cesarskie przed ich wysłaniem i sam najwięcej przyczynił się do pojednania.

Petersburg 25 stycznia. Niebawem ma utworzyć Rosya pięć nowych konsulatów w Serbii. (To znaczy: pięć nowych agencyi — przyp. Red.).

Obiega pogłoska, że z początkiem roku 1896 zaprowadzony zostanie monopol wódczany na Litwie, na Wołyniu, Ukrainie i Podolu.

Berlin 25 stycznia. Bismark zamieszka w pałacu królewskim, gdzie przygotowują już dlań apartamenta. Dnia przybycia Bismarka do Berlina jeszcze nie oznaczono.

Petersburg 25 stycznia. Nowo mianowany ambasador angielski Howard wręczył wczoraj carowi swoje listy uwierzytelniające.

Carstwo przyjmowali wczoraj noworoczne gratulacye ciała dyplomatycznego.

Rzym 25 stycznia. Dziennik *Italie* rozpuścił pogłoskę, że Papież jest bardzo chory. Tymczasem pogłoska ta okazała się zmyśloną. Papież bowiem przyjmował wczoraj nowo mianowanych prałatów, tudzież księcia Viano i margrabiego Cavalotti'ego z ich rodzinami.

Belgrad 25 stycznia (urzęd.). Doniesienia dzienników o tem, że miały wybuchnąć jakieś rozruchy na prowincyi, są zupełnie bezpodstawne. W całym kraju panuje kompletny spokój.

Hamburg 25 stycznia. *Hamburger Corresp.* dowiaduje się z najlepszego źródła, że Bismark pojedzie do Berlina w piątek rano.

Wiedeń 25 stycznia. *Wiener Zeitung* ogłasza nominacyę dr. Jana Bołoza Antoniewicza, nadzwyczajnego profesora lwowskiego uniwersytetu, konserwatorem i członkiem centralnej komisyi konserwatorów.

Przyjechali do Lwowa

dnia 25 stycznia 1894.

HOTEL ŻORŻA. Hr. A. Męciński z Dukli. Wład. Morawski z Oleszy. L. bar. Dürfeld z Horodenki. K. Heindrich z Kołomyi. F. Schoefer z Budapesztu.

HOTEL FRANCUSKI. Hrab. M. Tarnowska z Wołynia. Dr. J. Soławski z Zaleszczyk. T. Hoerkens z Lincu. S. Süss z Salcburga. C. Radits i M. Schosberger z Budapesztu.

HOTEL EUROPEJSKI. Książę J. Sułkowski z Gradowicy. L. Lachs z Wiednia. K. Barański z Sambora, J. Teltsch ze Stanisławowa. A. Raszewski z Rasocic. T. Pawlikowski z Krosna. M. Wassing z Wiednia. K. Zimmermann z Wiednia. M. Torosiewicz z Pełtwi. A. Udrycki z Mostów wielk. H. Negroni z Warszawy. F. Kościesza Żaba i E. v. Malberg z Wiednia. W. Barański z Doliny. A. A. Sokołowski z Zaleszawy. A. Rosenberg z Nadwórnej. W. Łastowiecki z Sietrzy. P. Jakoubeutz z Lubkowic B. Łastowiecki z Strzelca. L. Katzner z Podwołoczysk.

HOTEL VICTORJA. S. Wolniewicz z Suchostawu. J. Jaworska z Iżowego. Dr. L. Heyne ze Złoczowa. P. Deisenyi z Budapesztu. L. Skutezky z Berna. J. Herschmann z Wiednia. H. Schrank z Wiednia.

HOTEL IMPERIAL. G. ks. Sturdza z Jass. J. hr. Gundziński z Poznania. N. Popescul z Bukaresztu. L. Charisiadis z Czerniowiec. M. Youngowa z Porzeczy. S. Urbański z Tarnowa. K. Kawecki z Cieszanowa. Z Rozwadowski z Limanowej. T. Wysocki z Uhnowa. N. Mikułowski z Dobromila. S. Krynicki z Tarnopola. Dr. K. Żywicki z Tarnopola. M. Dydyński z Raciborska. M. Sławiński z Królestwa Polskiego.

HOTEL CENTRALNY. H. Małecki z Krakowa. L. Benedyktowicz z Krakowa. A. Charzewski z Krakowa. A. Wybranowski z Czortkowa. Dr. Włyński z Janowic. Mr. A. Lorié z Paryża. Dornwald z Przemyśla. K. Ilgner ze Stryja. St. Zerygiewicz z Żydaczowa. J. Kaiser z Berlina. H. Adlersberg ze Stanisławowa J. Tobis z Podhorców. M. Lion z Wiednia.

Lwów dnia 25 stycznia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 216·50 do 219·50. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. 261.50 do 263·50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 373·— do 383·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 100·80 do 101·50, 5% z 10% prem. 109·70 do 110·40, $4^1/_2$% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego $4^1/_2$% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·20 do 98·90. 4% los. w $41^1/_2$ lat. 98.20 do 98·90, 4% los. w 56 latach 98·20 do 98·90. $4^1/_2$% los. w 52 lat. 100·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 97·50 do 98·20. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·— do 102·70. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, $4^1/_2$% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 95·80 do 96·50 4% z roku 1893 96·— do 96·70.

Monety. Dukat cesarski 5·87 do 5·97. Napoleondor 9·91 do 10·01. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33·—do 1.36·—. 100 marek niemieckich 61·10 do 61·60.

Wiedeń dnia 25 stycznia. (godz. 11 w połudn.) Kredyty 354.50, kred. węgierskie 428.—, Anglob. 155.75, Uniony 262.—, Bankvereiny 126.25, Länderbanki 253.80, Akcye tytoniowe —·—, Staatsbahny 310.87, Lombardy 109.—, Elbethale 244.25 Renta papierowa 98.10, Renta węg. 4% kor. 94.90 Renta węg. złota 4% 117.55, Alpiny 51·60, Marki 61·28 Losy tur. 59.30.

63)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ

przez

JULIUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

I nagle, nie rzekłszy do siebie ani słowa, ze łzami w oczach rzucili się sobie w ramiona.

— Przyjacielu kochany!

— Mój towarzyszu wierny!

I na tem skończyło się.

Nie powiedzieli sobie nic więcej, nie uczynili najmniejszej przymówki. Mimo to przecież, pozostał w nich jakiś niepokój.

VII.

Temu, który przeżyje.

Następnego dnia Jactain w następujący sposób sformułował myśl swoją:

— Przyznać muszę, że nieraz stosunki nasze bywały chłodne, niejednokrotnie doświadczaliśmy chłodu, głodu i pragnienia, a całemu światu wiadomo, że trudniej znieść pragnienie, niż głód — że wiele razy cierpieliśmy prawdziwą nędzę, mimo to jednak byliśmy wówczas szczęśliwi, niż dzisiaj, choć posiadamy majątek.

— To prawda — odrzekł z westchnieniem Persillard — lecz cóż robić?

— Nic. Bogaty musi cierpieć zawsze.

— Nie możemy przecież zwrócić pieniędzy p. Bartolom.

— Jeszczeby też! Kosztowały nas one tyle nocy bezsennych, żeśmy zapracowali na nie.

Rozmyślając nad zagadkowym dla nich w pierwszej chwili wypadkiem znalezienia całkowitej sumy, pomimo zwiększenia jej o jeden skradziony bilet, doszli nareszcie do wniosku, że jeden drugiego okradł. Ale w myślach swoich nie dodawali, że kradzież była wzajemną i widzieli tylko jedno, mianowicie niebezpieczeństwo kradzieży powtórnej.

A kto wie, czy wtedy Jactain zadowolni się tak małą sumą, czy Persillard poprzestanie na jednym bilecie? Z tąd wyrodziła się w ich stosunkach ogromna niepewność i nastały dni, przeplatane ciągłym strachem, który też natchnął ich filozoficzną uwagą o większem szczęściu w życiu dawnem, aniżeli w dzisiejszem.

Pomimo okazywanych sobie pozornie względów, nienawidzili się w głębi duszy, nie wiedząc dla czego. Nie mówili sobie przecież tego i udawali życzliwość.

Ponieważ nie posiadali do siebie ufności, największem ich staraniem teraz było odkopać z pod muru swe skarby i ukryć gdzieindziej, w największej tajemnicy, jak najdalej od domu i z zachowaniem jak największych ostrożności.

Pod wpływem tej myśli, nie radząc się wyjęli z ukrycia pieniądze i zaszyli znowu w swych bluzach, na czas jakiś, dopóki nie znajdą odpowiedniej kryjówki.

Wtedy to w myśli Persillarda zabłysła myśl, nad którą długo się zastanawiał, zanim odkrył Jactainowi:

— Słuchaj-no stary, chciałbym z tobą pomówić.

— Mów. Więc to rzecz poważna?

Była to rzeczywiście dla Persillarda rzecz poważna i to, co miał powiedzieć, musiało odwiadać jakimś tajnym myślom, których nie chciał wyjawić, gdyż na chwilę umilkł i szukał słów.

— Jak wiesz, mój drogi, nie mamy żadnych krewnych, ani żon, ani dzieci, ani ojca, ani matki, ani nawet dalekich kuzynów.

— Prawda, przynajmniej co do mnie — odrzekł Jactain.

— I co do mnie tak samo. Z drugiej strony, nie rozstawaliśmy się nigdy i kochamy się przecież, wszak prawda? — zapytał z pewną wątpliwością, jak gdyby nie wierzył już w tę przyjaźń.

— Rozumie się — odrzekł Jactain — kochamy się jak bracia.

— Otóż przypuśćmy, że jeden z nas umiera. Co stanie się z jego majątkiem?

— Zabierze go drugi... To rzecz prosta.

— Jeżeli umarłby, nie rozporządziwszy nim przed śmiercią...

— Na czyją korzyść? Kogoś obcego?

— Kto wie? Właśnie chodzi, ażeby do tego nie dopuścić...

— Wytłómacz się jaśniej.

— Czy nie moglibyśmy sporządzić testamentu?

— Ależ ja wcale nie mam ochoty umierać.

— I ja także. Zresztą to nie sprowadza śmierci, lecz przeciwnie, oddala ją.

— A więc?

— Ten, który pierwszy z nas umrze, niech zostawi majątek pozostałemu przy życiu.

— I owszem — odrzekł Jactain obojętnie.

Przez cały dzień pracowali nad napisaniem tego ważnego aktu, następnie przeczytali go prawie w jednych i tych samych wyrażeniach, przyczem uważali za właściwe wtrącić kilka wyrazów przyjaźni i po schowaniu testamentu do szufladkomody, w której zachowywali ubranie i bieliznę, uściskali się po przyjacielsku.

Mimo to jednak, stracone zaufanie nie powróciło i myśl ukrycia pieniędzy w jakiem niedostępnem miejscu, nie opuszczała ich zmysłów.

Pewnego dnia Persillard przechodząc około opuszczonej kopalni, powiedział sobie, że tam będzie właśnie kryjówka najodpowiedniejsza. Znał on ją dobrze, niejednokrotnie dawniej odwiedzał, nie jedną noc tam przepędził, szukając schronienia przed chłodami w górach. Zeszedł w ciemną otchłań, następnie spuścił się na dół po drabinie i w upatrzonym zakątku zakopał pieniądze.

Po wyjściu na powierzchnię ziemi, zatarł ręce z radości i rzekł:

— Jeżeli Jactain umrze, to wiem, gdzie jego pieniądze... w bluzie... A jeżeli ja umrę pierwszej, to on nie znajdzie moich. Wolę, by mój majątek został stracony na zawsze, aniżeli żeby ten pijak przejadł go i przepuścił na zbytki.

Na nieszczęście i Jactain rozumował tak samo. Przechodząc około opuszczonej kopalni, przyszła mu myśl ukrycia w niej pieniędzy, spuścił się więc, zakopał i gdy uradowany wyszedł na górę, szepnął:

— Jestem teraz spokojny; jeżeli Persillard umrze, majątek jego mnie się dostanie, a jeżeli ja umrę naprzód, on nic nie zyska. Wolę, żeby raczej robactwo zjadło moje pieniądze, aniżeli miałyby się one dostać w ręce tego kutwy.

VIII.

Pod ziemią.

Tymczasem Dyana czuwała nad bratem nieustannie.

Wyrzucała sobie brak odwagi, gdy widząc schodzącego do opuszczonej kopalni, przestraszyła się ciemnej przepaści i nie udała się za nim.

— Będę teraz odważniejszą — mówiła do siebie — i nie cofnę się przed niczem.

Ukryta wśród krzaków, wystawiona na deszcz i wiatry dmące w górach, drżąc z zimna całemi godzinami, każdej jednak nocy wyczekiwała przybycia Antonia, ale ten przez pierwszych kilka dni nie pokazywał się wcale. Powstrzymał się zapewne przez ostrożność.

Pewnego wieczora jakiś cień przesunął się przed nią. Ale noc była o tyle jasną, iż widziała, że to nie Antonio.

Był to Persillard.

Dyana nie zastanawiała się nawet, po co on tam się udał — myślała jedynie o swoim bracie.

Następnego dnia znowu jakiś cień przesunął się koło niej, ale i tym razem nie poznała w nim Antonia.

Był to Jactain.

Nakoniec pewnej nocy, gdy myślała już, że Antonio zaniechał swych zamysłów, spostrzegła go schodzącego do szybu.

Powstała i udała się za nim. Szła ostrożnie, czepiała się gałęzi krzewów, a ponieważ pochyłość nie była zbyt stromą, doszła do otworu szybu.

Zatrzymywała się za każdym krokiem, nasłuchywała, wzrokiem usiłowała przebić otaczające ją ciemności.

Drżała, ale szła dalej, powodowana gorącą chęcią ocalenia drogich jej istot, zagrożonych zamysłami Antonia. Przedsięwzięte przez nią zadanie, prawie przechodziło siły ludzkie. Co krok groziła jej śmierć niechybna. Gdyby choć co widziała, gdyby choć najmniejsze światełko pozwoliło jej wybrać miejsce do postawienia kroku. Ale ciemność czarna, nieprzenikniona, otaczała ją wokoło, tylko nad głową, wysoko, na niewielkim kręgu, połyskiwały gwiazdy.

Gdy z pod jej stóp usuwały się kamienie, schylała się z bijącem sercem, by nie zwrócić na siebie uwagi Antonia. Gdzie on jest? dokąd idzie? czy ciągle jest przed nią? czy może go wyprzedziła? Przykłada ucho do ziemi i słucha.

Kroki Antonia rozlegają się echem przed nią. I nagle, jak gdyby dla dodania jej odwagi, w ciemnościach szybu błysnęło światełko.

To Antonio zapalił lampę Davy'ego.

Doszedł do drabiny.

Dyana widzi go zstępującego na dół, zagłębiającego się coraz więcej i znikającego pod ziemią. I znowu zapanowała ciemność. Ale Dyana zaobserwowała już drogę. Już wie, że aż do drabiny nie potrzebuje obawiać się niczego.

Idzie więc z początku śmiało, później kładzie się na ziemi, czołga się i badając grunt rękami, dosięga drabiny. Następnie bez wahania spuszcza się po niej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodek.